

Rok VI.
Kraków, dnia 4 lutego 1912 r.
Nr. 5.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków. ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Kupujmy swoje!

Ludu siermiężny!

Komuż dzisiaj ojczyzna nasza nie jest skarbem najdroższym? Któż z nas nie chce jej szczęścia, jej jaśniejszej doli?

Miłość ojczyzny była i jest gwiazdą przewodnią największych jej synów. W nią zapatrzeni, ginęli czwartacy i kosynierzy, szli i ciągle idą w bezbrzeżną krainę lodów sybirskich, skuci w łańcuch nasi wygnańcy.

Dziś jesteśmy niewolnikami, lecz przez oświatę dążymy do dawnej wolności.

Jesteśmy biedni materyalnie, więc dążyć musimy do tego, byśmy się wzbogacili i nie byli zależnymi od wrogów naszych. A wzbogacimy się wtedy, gdy będziemy popierać towary, robione rękoma braci naszych a obce precz odrzucimy.

Przykładem powinna być dla nas Anglia. — W kraju tym od wieków każdy fabrykant może z całego świata przywozić do niego i sprzedawać swoje wyroby. Cóż robią posłowie w parlamencie, aby poprzeć przemysł krajowy? Nie tak jak gdzieindziej w Europie się robi. Nie zabraniają przywozu, ani nie nakładają ceł. Uchwalili poprostu tylko ustawę, że każdy przedmiot wyrobiony zagranicą, musi nosić napis, skąd pochodzi. To też na każdej rzeczy, dużej czy małej, od ołówka począwszy a skończywszy na ogromnej maszynie, która przyjechała z za granicy, stoi napis: *Made in Francia, Made in Austria* albo *Made in Germany* itp. Znaczy to, że ten przedmiot przywieziony został z Francyi albo z Austryi, albo z Niemiec itd. Zastępcy ludu angielskiego wiedzą, że dla dobrego Anglika, który kocha swój kraj, zupełnie to wystarczy. Gdy zobaczy taki napis, a obok taki sam przedmiot bez napisu, zatem przedmiot angielski, z pewnością woli kupić ten drugi, bo swój, własny, ojczysty. Czyż nie dobra to nauka?

A jakże odmiennie jest u nas!

Tysiące synów ojczyzny idzie za morze, niejeden, by już nigdy do Polski nie wrócić. Idzie między obcych, tak jakby ta ziemia polska nie matką, ale okrutną macochą mu była. Chleba u nas ludzie nie mają. A kto winien temu?

O, bracia kochani! Temu jesteśmy sami winni; bo jeśli jakakolwiek fabryka u nas powstanie, to w krótkim czasie istnieć przestaje, gdyż nam lepiej podoba się obcy towar w pięknem pudełeczku, aniżeli swojski, zawinięty w szarą bibułę. A przecież gdy w r. 1848 Austrya, przy pomocy Rosyi, zgniotła powstanie węgierskie, to hrabianki węgierskie chodziły w płótniankach, toż im ta płótnianka milszą była, aniżeli jedwab austryacki.

Więc czemuż mamy wstydzić się swego?!

Miliony rocznie zabiera od nas Prusak za swe wyroby i za te miliony zakłada towarzystwa hakatystyczne, za nasze pieniądze wykupuje ziemię z rąk braci naszych. Jakże to smutno!

Miły gospodarzu! Jeśli się czujesz być synem matki po trzykroć rozdartej i jeśli w twojej piersi bije serce polskie, to ratuj swą ojczyznę. Niechaj twojej słomnej chaciny nie zohydzi żaden jaskrawy obraz ze szwabskim napisem, żaden kalendarz obcy. Zapałki czy też bibułki, zeszyty czy pióra, ołówki, atrament, papier listowy, kartki widokowe, czernidło do obuwia, świece, mydło itp., wszystko to niech będzie wyrobu swojskiego galicyjskiego.

Ucz swoje dzieci, że Steinbrenner lub Hans Konrad to nie Polacy, ale obcy, którzy rocznie miliony krwawicy naszej zabierają; ucz je, by kochały towar polski, w domu kupiony, chociaż on może w zaraniu swego rozwoju będzie nieco prosty, ale miły, bo swojski. Żądaj w sklepie towaru »wyrobu galicyjskiego« a kupiec jeśli go nie ma, sprowadzić musi, bo on z ciebie żyje. Galicyjski towar musi mieć adres fabryki a jeśli go nie ma, to jest towarem obcym.

I wtedy, gdy każdy zrozumie, że kupując swojski towar, daje możność życia polskiemu robotnikowi; wtedy zmniejszy się wychodźtwo, kraj wzbogaci się i prędzej zajaśnieje nam tak upragniona jutrzenka swobody.

BEREZYNA.

Powieść historyczna z r. 1812.

Bunt w szeregach.

Jesień. W głuchym spoczynku, z obu stron drogi ciągną się smutne płachcie ugorów. Czarne, zorane role rozmiękły w głąb, do szczerej calizny.

Środkiem traktu, grzęznąc w rozmiękłym gruncie po kostki, maszeruje krokiem równym piechota. Z bark, z pleców żołnierzy spadają łachmany odzieży, zniszczonej do cna. Niektórzy jeszcze mają na nogach kamasze i strzępy zdartego obuwia. Inni maszerują boso w rozgrzęzłem błocie gościńca. Z pod wysokich czap, kształtem zbliżonych do kaszkietów ułańskich, wyzierają twarze młode, wychudłe i zczerniałe. Znać, że dotknął ich twardy rylec wojny. Rzadziej siwe wąsy, srogie miny wiarusów patrzą z szeregów. Pułk ten, to bohaterzy.

Mają poza sobą dni wielkich zwycięztw i chwały. Krwawe, zwycięskie zapasy ze starym, ćwiczonym żołnierzem pruskim. Twarde, bohaterskie sprawy przy oblężeniu Grudziądza i zdobyciu Tczewa, twarde trudy na lądzie i wodzie pod Gdańskiem. Mają poza sobą czyn, wzbudzający największy podziw, niebywały, forsowny marsz z pod Gdańska pod Frydland w ciągu dni i nocy, przez kraj tak spustoszony, że przez 48 godzin żołnierz nie miał kęsa chleba włożyć do ust. Mają poza sobą wielkie krwawe pobojowisko Frydlandu. Na ostrzu swych bagnetów ufundowali księstwo warszawskie.

Wielki cesarz przyznał im, że godni są być narodem. Dziś — po Tylży — wracają spocząć na laurach. Na płaskim, zamglonym horyzoncie zamajaczyły zarysy nadgranicznego miasteczka.

— Rawicz! Rawicz! — przebiegł szeregi szmer radosny.

Głębokie westchnienie ulgi podniosło piersi. — Kolumna ruszyła żwawiej.

— Jeno by ujść jeszcze ten kęs drogi! jenoby się dobić do miejsca! — wzdychał ten i ów w kompanii grenadyerskiej.

— Nie wiecie zaś, kamrat, jako będzie wedle żołdu — nieśmiało pyta idący z drugiej strony szeregu rekrut. — Czy aby otrzymamy go wreszcie?...

— Patrzcie go! żołdu mu się zachciewa! — szydził zjadliwie stary wyga. — Nie wiesz-to, że kasa pułkowa pusta, jako ten twój brzuch, gdyś go niosł od Merungu pod Frydland, trzy dni nie jadszy? — Obejdź-że się smakiem! Nie tacy jak ty, nie mają czem brzęknąć w kieszeni, a milczą przecie.

Przedmiot rozmowy stanowił prawdziwą bolączkę pułku. Odrazu odezwały się przytłumione głosy w szeregu:

— Przecie wolno nam upomnieć się o zasługi! Żołd nam zalega od sześciu miesięcy...

— Złamanego szeląga nie mamy przy duszy!... Żebracze wojsko!

— Pies ci ma lepsze wygody!

— Kiej nam tu wnet żołdu nie wyliczą, z miejsca nie postąpię, palcem nie ruszę.

— Stulicie gębę! — przez zęby syknął stary.— Buntować tu chcesz? Nie wiesz, czem pachnie niesubordynacya? Kulką w łeb!

— A niech ta! Lepsza śmierć, niż taki psi żywot! Goło, boso, bez grosza!

— Przecie! — przytwierdza inny. — Ty tu, żołnierzu, krew przelewaj, skóry nadstawiaj, głodem mrzyj, a wkońcu jaka za to zapłata? Kula urwie ci rękę lub nogę, idź, kaleko, pod kościół!

— Cichaj-no tam! — zabrzmiał surowy głos sierżanta od prawego skrzydła. — Co to za poswarki? Stul pysk, wyciągaj nogi i tyla!

Głuchy szmer zamarł w szeregu. — Kolumna wchodziła w rogatki miejskie.

*

Na placu zbioru stoją rzędy broni, ustawionej w kozły. Na skrzyżowaniach bagnetów wiszą pasy i lederwerki. Na placu niema żywego ducha. Oficerowie, którzy przybyli wprowadzić żołnierzy za miasto na musztrę, rozglądają się dokoła zdziwieni. — Wołają doboszów, aby uderzyli na zbiór kompanii.

Kilku żołnierzy ukazuje się z za węgła.

Nadchodzi podpułkownik Grotowski, komendant batalionu.

— Co to znaczy? Gdzie są żołnierze? — pyta ostro.

Oficerowie wzruszają ramionami bezradnie. — Garstka żołnierzy się rozbiega. Jeden z nich, snać śmielszy, podnosi głowę i mówi:

— Nie wypłacają nam żołdu od tylu miesięcy. Służby pełnić nie myślimy.

Szef batalionu stoi jakby rażony piorunem. — Zgroza unieruchomiła go na moment. Dobywa szpady i w uniesieniu niepohamowanem biegnie, ażeby przebić śmiałka. Żołnierz umyka z placu. Podpułkownik Grotowski, niepomny gniewu, wybucha na oficerów:

— Jak mogliście waćpanowie do tego dopuścić? Bunt, rozprzężenie! Niezmazany srom! Wołać doboszów! Choćby z pod ziemi stawić mi ich tu!

Porucznicy rozbiegli się na wsze strony spełnić rozkaz. Niebawem kilku doboszów stanęło przed groźnem obliczem szefa. Krótki, częstokrotny odgłos pobudki rozlega się na placu i wypełnia głuche uliczki mieściny. Minuty wlokły się ciężko w nieznośnem oczekiwaniu. Z za węgłów domostw, z głębi zaułków zaczęły się ukazywać rozproszone gromadki żołnierzy. Zdążali na plac zbioru wolno, w ponurem milczeniu. Niemało upłynęło czasu, nim udało się jako tako zgromadzić bataliony.

Na placu ukazuje się jenerał brygady, Michał Grabowski, uwiadomiony o wypadku niesłychanym. W fałdach czoła jenerała zastygła zgroza, pełna bólu i wzgardy. Twarz skrzepła w wyraz marmurowy. Z pod ściągniętych, siwych brwi oczy patrzą w sposób nieodgadniony. Zwraca się do szeregów:

— Żołnierze! Na honor i cześć, drogą każdemu żołnierskiemu sercu, zaklinam, nie czyńcie wstydu niezmazanego imieniowi polskiemu wobec sprzymierzeńców naszych. Opamiętajcie się! Do was przemawiam, ktorzyście we włoskiej armii, w legionach twardo znosili stokroć gorszy trud i niedostatek!... Którzyście, głodni i bosi, spieczoną ziemię egipską deptali do utraty tchu, do kalectwa, a jednak wytrwaliście. Więc tu, na własnych zagonach, w obronie własnych swych zagród, mielibyście się skazić i złamać przysięgę wierności żołnierskiej? Hańba wieczysta!

Mówi — głos twardy i donośny gdzieś w głębi zda się łamać i pękać. Zwolna chyli głowę ku piersi. Rycerskie, niesplamione żadną zmazą czoło, zachodzi mu krwawym rumieńcem.

Widać poruszenie w szeregach. Zwłaszcza starzy wiarusi przed tym wzrokiem dowódcy radziby zapaść w ziemię. W niemem pomieszaniu przestępują z nogi na nogę. Dowódca po chwili podnosi głowę. Pada wyraz komendy, pochwycony wraz przez oficerów. Szeregi posłuszne formują kolumnę, krokiem równym, miarowym ruszają z placu.

Wódz zwraca się do swego sztabu:

— Pójdźmy spełnić powinność.

Za miastem, na odosobnionem miejscu, kędy nie zajrzy obce oko, stanęła kolumna. Zabrzmiała komenda:

— Formuj czworobok.

Szeregi rozwinęły się, plutony zaszły w lewo i w prawo, tworząc regularny, zamknięty czworobok, zwrócony frontem do wewnątrz. W pośrodku żywych ścian stał jenerał. Przed front szeregów kazał wystąpić wszystkim oficerom. Przywołał ich ku sobie do środka. Wówczas obrócił się do żołnierzy. — Twarz miał stężałą w niezłomnem postanowieniu. Przemówił:

— Okryliście swych oficerów hańbą nieposłuszeństwa niesłychanego. Odtąd nie jesteśmy godni być dowódcami. Baczność! Nabij broń!

Komendę wykonano posłusznie. Żołnierze zębami odgryźli papier z ładunków, nabili karabiny. Dźwiękły stemple w lufach.

— Teraz — mówił dalej jenerał — dacie ognia do nas wszystkich. Gdy nas wystrzelacie, wówczas możecie się rozejść, a nas uwolnicie od dowodzenia takimi, jak wy.

Podniósł głowę i głosem twardym zakomenderował:

— Bataliony, cel!

Żołnierze podnieśli broń do oka. Tysiąc luf ziejących śmiercią, skierowało się zewsząd ku grupie oficerów, skupionych dokoła wodza, w środku czworoboku. Podmuch grozy wionął w powietrzu. Serca stanęły w piersiach. Twarze oficerów okryła śmiertelna bladość. Niektórzy przymknęli oczy. W tej ciszy, jak grot, padło twarde słowo komendy:

— Pal!

Cisza zupełna. Za moment znowu:

— Pal!

Cisza ta sama.

Blada twarz jenerała zaczęła nabiegać krwią.

— Pal! — głosem podniesionym powtórzył po raz trzeci komendę.

Nie runął ani jeden strzał. Twarz jenerała stała się purpurową. Z dłonią na rękojeści szpady, przyskoczył ku szeregom i wyrwawszy szpadę z pochwy, począł nią płazować jednego po drugim, od prawego począwszy, żołnierzy znieruchomiałych w pozycyi nakazanej przez komendę, z bronią u oka, wycelowaną ku grupie oficerów.

Wówczas skroś szeregów odzywa się w odpowiedzi rozpaczna prośba — jęk:

— Panie jenerale, prosimy o komendę: Odstaw!

Dowódca patrzył w szeregi źrenicą surową, jeszcze zatloną gniewem. Widział żebrzące wejrzenia. Chwilę tak stał, nie zdejmując z szeregów ciężkich, płomiennych źrenic. Po twarzy spłynął mu cień. Z zaciśniętych ust wreszcie padła komenda:

— Odstaw broń!

Tysiąc ramion z pośpiechem wykonało ruch na komendę. Tysiąc piersi odetchnęło z ulgą głęboką, jak jeden człowiek. W tym momencie szeregi pękły. Żołnierze z głośnym płaczem rzucili się hurmem. Przypadli do nóg jenerała, do kolan oficerów, z płaczem prosząc o przebaczenie. Poddadzą się karze, choćby najsurowszej. Odtąd posłuszeństwem bezgranicznem pragną zaskarbić na nowo serca i ufność dowódców.

— Tym łzom zawierzyć można, jak przysiędze — odezwał się półgłosem pułkownik Weyssenhoff do stojącego obok Grotowskiego.

— Kazałbym rozstrzelać co dziesiątego — odrzekł surowy szef batalionu — lecz zresztą poszedłbym śmiało na kraj świata.

Jenerał stał śród tych żołnierzy, czepiających się jego rąk i kolan, jak ojciec pośród dzieci. Na jego twarzy surowość walczyła z rozrzewnieniem. — W źrenicach zamigotał dziwny blask. Wyciągnął rękę, a gdy na ten znak uczyniła się cisza dokoła, głosem poruszonym przemówił:

— No, dzieci, przez wzgląd na wasz żal szczery, przebaczam. Wierzę, że nic podobnego już nigdy się nie powtórzy. Lecz łez i przyrzeczeń tu nie dość. Prośmy Boga, aby nam pozwolił doczekać dnia, w którym czynem będziemy mogli odkupić hańbę dzisiejszą.

— Odkupimy winę krwią i życiem swojem! — zabrzmiał chór głosów, dobytych z głębi serc.

Jenerał oczyma, płonącemi blaskiem niezwykłym, oglądał żołnierskie twarze, pełne zapału.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gromnica.

— Moja matuś! powiedz jeno:
Czemu taką świecę śliczną
Niosłaś dzisiaj na Gromniczną?
Owiązałaś wstęgą siną
I przybrałaś w krasne kwiaty;
Czemu wracasz z nią do chaty
I zapalasz teraz oto,
Piszesz nią, jak gwiazdką złotą,
U powały, u odźwierzy,
Z pod płomyka krzyż tak czarny,
Niby jaki znak cmentarny?
Czy to czynić tak należy?
Kosztowało pracy siła,
Nimeś wczora jeden zmyła,
A dziś znowu kreślisz drugi,
Gdzie po tamtym jeszcze smugi?
— Córuś moja, córuś mała,
Rok przeminął od tej pory,
Gdy gromnicą krzyża wzory
Matuś także rysowała.
Ot, bo widzisz taka świeca,
To nazywa się gromnica,
Za obrazem, jak rok, skryta,
W kwiaty, w wstążki cała zwita.
Kapłan ją też raz w rok święci,
Byśmy mieli to w pamięci,
Że Najświętsza Matka Boża,
Niby słońce, ranna zorza,
Dziś Synaczka niosła w darze
Bogu Ojcu na ołtarze.
Pan Bóg pszczółki stworzył na to,
By zbierały wosk przez lato —
Ludzie z niego wnet sposobią
Takie świece, jak ta nasza;
Jedne ołtarz potem zdobią,
Zaś święcona grom odstrasza,
Że w te chaty nie uderzy,
Gdzie gromnica w izbie leży;
Zło wszelakie też ucieka,
Bo krzyż, co gromnicą znaczą
Po pod strzechą, pod wieśniaczą
Od pokusy broni człeka...
— Moja matuś, jak dorosnę,
To dla pszczółek w każdą wiosnę,
Będę sadzić kwiatki, ziele,
Niech narobią wosku wiele
I świec dużo zrobić każę
Do kościoła na ołtarze.
A zaś jedna gruba, wielka
To musi być dla panienki,
Co te ładne ma sukienki.
Czasem daje mi karmelka,
To obrazek z własnej książki,
To kawałek krasnej wstążki...
— Widzisz córuś, ta gromnica
Już serduszko twe oświeca,
Bo w niem wdzięczność zacną budzi.
Czcijże Maryę — kochaj ludzi!

Korczak.

Wśród maryawitów.

Wśrod maryawitów, niedorzecznej sekty, która odszczepiła się od Kościoła katolickiego i rozszerzyła się w Królestwie Polskiem, zapanował rozłam. Wynikł on w ogromnem mieście fabrycznem Łodzi — i trwał podobno już dość dawno, lecz dopiero w ostatnich dniach stał się głośnym. Podczas nabożeństw zatopionym w modlitwie mają ukazywać się widzenia: trójca, złożona z duchownych maryawickich: duchownego Gołębiowskiego, biskupa Kowalskiego i Próchniewskiego. Osoby te mają ukazywać się razem albo pojedynczo. Również często ukazuje się mateczka Kozłowska. Ci, co niby mieli te widzenia chcieli wśród reszty współwyznawców je rozszerzyć, ci jednak odrzucali je. Walka dwóch kierunków religijnych zaczęła przybierać formy coraz ostrzejsze i wreszcie rozpoczęły się bójki w świątyni.

Podczas nabożeństwa rozlegały się krzyki na cześć ukazujących się osób nowej trójcy. Modlić się w takich warunkach było niepodobieństwem, więc też pozostali maryawici starali się usunąć mających owe widzenia. Z tego powodu dochodziło do bójek między dwoma obozami. Wreszcie drzwi domu modlitwy zamknięto dla wyznawców nowej sekty.

Od tego czasu ruch wśród grona maryawitów skierował się na tory bardzo dziwne. Doszli oni do szalonego przekonania, że religia ich zatryumfuje w całej pełni, gdy biskup maryawicki Kowalski będzie ukrzyżowany i zmartwychwstanie. Poczęto udawać się do biskupa Kowalskiego z waryackiemi prośbami, aby pozwolił się ukrzyżować, od kilku dni zaś czyniono na niego formalne obławy, którym zdołał ujść szczęśliwie. Ale w nocy z 23 na 24 stycznia doszło do katastrofy. Maryawici, przeważnie kobiety, zgromadzili się przed świątynią maryawicką przy ulicy Franciszkańskiej i rozegrało się zajście, którego szczegóły trzymane są w wielkiej tajemnicy. Podobno obłąkany tłum rzucił się na biskupa maryawickiego Kowalskiego i chciał go ukrzyżować. Widząc niebezpieczeństwo, a nie mogąc obronić biskupa, duchowni maryawici zawiadomili policyę, która w wielkiej liczbie wkroczyła na podwórze kościelne i rozbroiła walczących. Energiczna akcya przywróciła porządek i ocaliła Kowalskiego, przyczem aresztowano kilkanaście osób, które odprowadzono do cyrkułu. Nazajutrz wypuszczono niektórych aresztowanych, innych zaś, w tej liczbie ośm kobiet, głównych, zdaje się, kierowniczek ruchu, policya zatrzymała w areszcie.

Śledztwo w sprawie rozłamu wśród maryawitów łódzkich prowadzi się bardzo energicznie. Władza rosyjska nadaje tej sprawie poważne znaczenie. Aresztowano przywódczynię ruchu wśród maryawitów, Karolinę Masztalerzową, oraz jej współtowarzyszki, po spisaniu protokołu wypuszczono na wolność, gdyż urząd prokuratorski nie znalazł cech przestępstwa w ich czynach. Ostrzeżono je tylko, że o ile szerzyć będą swe szaleństwa, zagrażające spokojowi publicznemu, w takim razie przedsięwzięte zostaną przeciw nim energiczne środki. Masztalerzowa tak mocno wierzy w prawdę swych widzeń, że gotowa jest »iść w ogień« za swą wiarę. Twierdzi, że »jej prawda musi zwyciężyć na świecie«. Zapiera się, aby pragnęła ukrzyżowania biskupa Kowalskiego. Myśl tę powzięły jej towarzyszki, które przyniosły już koronę cierniową na cmentarz.

Krążą również pogłoski o innym zatargu wśród maryawitów łódzkich, mianowicie na tle ekonomicznem. Lokatorzy maryawickich domów udziałowych, dbali o własne kieszenie, nie chcą wnieść opłat na podatki i utrzymanie domów, oraz na budowę nowych domów, twierdząc że skoro wnieśli udziały, powinni być zwolnieni od dalszych opłat.

Paproć, osika, leszczyna i kukułka.

(Legenda).

Przed siepaczami króla Heroda ucieka święta Rodzina do Egiptu, idąc ciemnym gęstym borem, szukając drogi i schronienia.

Serce Maryi Panny drży od strachu, lica jej pobladły, tuli do łona swoją dziecinę, pieści i okrywa płaszczem, aby noc czarna nawet nie zajrzała Jezusowi w oczy. Ale głodne dzieciątko kwili i pożywienia żąda, a w głuchym borze żałosny płacz się rozlega.

Stare drzewa pochylają swe korony i jakby litośnie szemrały.

— Cyt, cyt! Nie płacz Dziecino! — a w zielonych oczach błyszczą im łzy rosy, łzy współczucia nad głodnym Jezusem. Przy ziemi paproć chwyta się nóg Panny Maryi i nieśmiało szepce:

— Pozwól mi posilić Dzieciątko Twoje, święta Boża Rodzicielko!

— A cóż ty masz za pożywienie? — pyta Najświętsza Panienka.

— Korzonki mam, którymi sama czerpię życie z ziemi.

Maryę Pannę rozrzewniła ta skromna ofiara paproci i przyjęła ją, aby czemkolwiek nakarmić zgłodniałe Dziecię. Pan Jezus za to, że ssał korzonki paproci, błogosławił litościwą roślinę i odtąd korzeń jej utracił dawną gorycz a człek zbłąkany w lesie i zgłodniały, może znaleźć w niej pożywienie i od głodowej uchronić się śmierci.

Raniutko Rodzina św. puściła się w dalszą drogę, aby umknąć przed Herodem.

Maryi Pannie ciężko było dźwigać Jezusa a nie chciała jednak skarbu swego macierzyństwa z rąk wypuścić, póki na miejsce bezpieczne nie dojdą. — Próbowała odpocząć i ukryć się na chwilkę za osiką, ale niedobra drzewina nie chciała dać jej schronienia.

— Boję się — wołała — aby mię król Herod nie kazał ściąć za to, żem dała wam schronienie. — Boję się — i trzepotała liśćmi z trwogi wielkiej i przerażenia.

Więc Marya Panna musiała wstać z pod osiki i pobiegła ukryć się w leszczynę.

— A ty, czy też będziesz się bała Heroda? — spytała i jak ptak spłoszony przypadła pod krzak leszczyny.

Ale ta zamiast odpowiedzieć nakryła ich swemi gałązkami i otuliła liśćmi niby płaszczem, dech w sobie zaparła. W leszczynie jednak siedziała zdrajczyni kukułka i chcąc się przypodchlebić Herodowi, poczęła wołać: ku ku! ku-ku! aby zwrócić jego uwagę na kryjówkę Matki Boskiej. Za to złe serce jest ptakiem bez gniazda i niema gdzie własnych piskląt ukrywać, a osika za to, że bała się dać schronienie Maryi Pannie, musi po wieki trząść się ze strachu i dygotać listkami, choćby największa cisza była w powietrzu.

Nie dosyć tego, zhańbił ją jeszcze Judasz później, gdy się na niej obwiesił i za karę, że Jezusa nie chciała przyjąć pod swój cień, musiała dźwigać największego zdrajcę i najpodlejszego wisielca na ziemi.

Leszczyna w nagrodę została błogosławioną, i odtąd grom w nią nigdy nie uderzy i człowiek podczas burzy może śmiało szukać schronienia pod nią, bo ona jest w łaskach Maryi Panny.

Franciszek Siekaniec.

Skok ze skały leukadyjskiej.



W starożytności na jońskiej wyspie Leukas, w Grecyi, na szczycie wyniosłej skały nad morzem stała świątynia Apollina, bożka słońca i pieśni. Każdy z bożków starożytnego świata miał dni sobie poświęcone, podczas których lud składał mu ofiary, odbywał zabawy z muzyką, śpiewem i tańcem lub igrzyska na jego cześć. Obok świątyni Apollina odbywały się również doroczne uroczystości, niezmiernie osobliwe i ciekawe. Skazany na śmierć człowiek musiał wobec tysięcy zgromadzonego ludu skoczyć z tej skały do morza. Przywiązywano mu do ramion i nóg kilka ptaków, aby łagodziły gwałtowność upadku. Rzadko się jednak zdarzało, aby skazaniec taki utonął. Zazwyczaj odrazu, skoro tylko pogrążył się w fale, rybacy znajdujący się na łódkach, pospieszali mu z pomocą i wydobywali; bywały jednak wypadki, że tonął. Uratowanemu zwykle darowywano już życie. Podczas święta Apollina nietylko jednak skazaniec taki rzucał się w morze. Istniało u ludu greckiego wierzenie, że człowiek nieszczęśliwy w miłości, gdy odważy się tego dnia na ten niebezpieczny skok, zyska serce osoby, którą kocha bez wzajemności. Po skoku skazańca w morze, znajdowało się zazwyczaj kilku lub kilkunastu ochotników i rzucało się w morze. Dziewczęta, które ich dotąd nie chciały, wobec takiego dowodu poświęcenia życia i odwagi, w istocie nawracały się ku nim. Kochankowie, uratowani następnie z odmętów morskich, czynili dziękczynienia następnie Apollinowi. Rzucały się też nieraz w morze zrozpaczone obojętnością mężów żony i dziewczęta, pragnące zjednać dla siebie uczucia swych wybranych. Piękny nasz obrazek przedstawia ten obrzęd ku czci bożka słońca i pieśni.

Smierć Kuby sietnioka [1]).

(Opowiadanie góralskie).

Ścigły wicher, wyrwawsy się z ozpadlin i przełęcy, spod na rówień, miecąc tumanami śniga. Zwalił się potem w mrakote leśnom, chyboł żedlami i smrekami, ślizgoł sie po nik, wyjąc tysioncem głosów i zasypując śnigiem paryże.

Drogom, co wiedzie od Lubomierza bez Rzyki ku Kamienicy idzie Kuba sietniok boskiem [2]), w podartyj w strzępy haruce [3]), w słomianym, dziurawym kapelusie. Sirota on, bo ojca łońskij zimy żedla w lesie prziwaliła — na Gromnicnom zasie pomarła mu matuś. We wsi ni mioł co robić, tak sie zabroł w droge. Płakać ni moze, bo syćkie łzy wypłakoł, kie matusię na cmentorz wywiezły i pod zmarzniętom mogiłke zakopali. Idzie i dumo:

— Hej! Mocny Boze! Kieby choć do stryka do Kamienicy sie dostać — tambyk moze choć gadzine pos za łyzke ciepłyj strawy. Sietniokek jest, do grubsy roboty sie nie nadom, ale popaść to zdolem...

A wicher duje a duje, sypie śnigiem ostrym, kie śkło, a ten śnig wcisko sie pod Kubowom haruke, siece go po gembie, scypie po usak, ale on na to nie uwazuje. Idzie cięgiem, nieustajęcy, przepycho się bez zaspy, jaz doseł do kaplicki, co stojała podle drogi.

Beł w nij Poniezus, z drzewa śwarnie wyrzezany. Siedzi se Poniezus podparty na rencach i dumo... Do kaplicki naduło śniga i Kubie zdajało sie, ze Poniezus sie telepie od zimna, jak i on.

Zol sie mu go zrobieło a przibocył se, co mu drzewiej matuś nieborzicka gwarziła i jegomość w bioły kosuli co niedziela w niedźwiedzkim kościele przikazuwoł, co gołego trza okryć.

Stanon se Kuba przed Poniezusem i pedo:

— Hej, Ty Panie Boze, heba Ci zimno je?... hę?... A kaz mos płócionki? [4])

Ale Poniezus siedzi i nic nie pedo.

— Nic nie godos?... hę?... To heba bez to, iżeś tak zmorz... Cekojze, to Cie okryjem mojom harukom, cobyś zaś nie umorz... a skodaby Cie beło, boś je śwarny. Płócionków ci nie dom, bobyk sam ostoł goły..

To pedajęcy, zdjął haruke i otulo niem Poniezusa, a na głowe wraził Mu kapelus. Telepie Kuba, ale on raduje sie, co Poniezusowi bedzie tero cieplij.

— A tero chyboj se mnom hań do krzoków po patyki, to ozpoliwa watre [5]) i bedziewa sie grzoły...

Ale Poniezus sie nie ruso.

— Nie fces, to pódem som!...

Poseł, ale jino kiela kroków, bo go omgliło i obsuson sie na ziem. Senność okrutno jęła go chytać, w ocak sie mu cosi zwiduje, w usak słysy coś, kieby janielskom muzykę. Zmarzniętemi wargami septo:

— To pewnikiem Jantek Słodycka gro na gęślikak... Chybojze ku mnie... Ciepło mi tu...

Fce sie krzynę podźwignąć i gnać ku onej muzyce, ale świzy tumon gruchnon na niego i prasnon niem o ziem. Ćma zakryła mu ocy, w usak zaceło cosi zbyrkać, kie zwonki na halak, ziwnon jesce kiela razy i usnon...

A śnig leci i leci, sypięcy mogiłkę dla Kuby...

Kie krzine [6]) puściło, zdyboł leśny na skraju lasku skośniałego, półgołego trupa Kuby sietnioka, a w kaplicce siedzioł se Poniezus w haruce i słomianym kapelusie. Hej!..

Sioło Władysław.

---

[1]) Sietniok, istota upośledzona od natury, niedołęga. [2]) Boso. [3]) Haruka, rodzaj góralskiej guni, zazwyczaj z sukna koloru bronzowego, czerwonym sznureczkiem wyszywana.
[4]) Spodnie ze zgrzebnego płótna. [5]) Ognisko. [6]) Trochę odtajało.

GROMNICE.

(Legenda).

Wesołość wielka zapanowała na całym świecie. Jakże nie mieli cieszyć się ludziska, kiedy Pan Jezus żytkiem ich obdarzył, a i ziemniaczki udały się na schwał. Radowali się ludzie a w ukontentowaniu i weselu wielkiem zaczęli zapominać i o kościółku, co wśród lip odwiecznych stojał i o paciorku codziennym, którego ich matki w latach dziecięcych nauczyły

Tak było w całym polskim kraju, tak było też i w Kmitowie, wiosce położonej u podnóża rozległych Karpat. Co niektóry trapił się takim obrotem rzeczy i bolał nad niewdzięcznością ludzką, ale większość nie myślała o niczem innem, a jeno pachniały im muzyki i zberezieństwa wszelakiego rodzaju.

Stary ksiądz proboszcz kmitowski, zobaczywszy taką niewdzięczność ludzką, chodził jak struty, włosy rwał z swej siwej głowy, krzyżem godzinami leżał, od chaty do chaty chodził i prosił, aby ludzie choć w niedzielę o kościółku nie zapominali.

Wszystko nadaremnie! Z początku ten i ów wymawiał się to słabością, to brakiem czasu, ale później to wprost śmiano się z poczciwiny i drwinami go przyjmowano. Aż przyszło wkońcu do tego, że prócz samego księdza, który odprawiał świętą ofiarę i chłopca kaleki, usługującego mu przy tem, nikogo w kościele nie było.

Tak przeszła cała jesień i nadeszło święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. — Dzień wstał jasny, pogodny, a tak ciepły, że ciepłotą przypominał raczej uroczą wiosnę a nie początek zimy.

Wczas rano wstał ksiądz proboszcz kmitowski i poszedł do kościółka, aby oddać cześć Najświętszej Pannie, która po raz ostatni w ciągu roku święci uroczystość na tej ziemi. Poszedł staruszek i zastał, jak zwykle, kościół zupełnie pusty. Cisza panowała w nim niczem nie zamącona. Ale zato na zewnątrz kościoła, z wioski szły wesołe okrzyki, ochocze śpiewki i dolatywały dźwięczne tony skrzypek i basetli.

Ukląkł starzec przed obrazem Matki Najświętszej i łzy gorące poczęły spływać po jego zmarszczkami pooranej twarzy. Z ust popłynęła modlitwa do stóp Niepokalanej.

Pokrzepiwszy duszę modlitwą, zamyślił się głęboko. A tymczasem od wsi szedł pogwar rozbawionego ludu. Podniósł ksiądz wzrok swój ku obrazowi Maryi Panny, wyciągnął ręce ku górze i głosem boleści pełnym zawołał:

— O Maryo! pokarz ten lud, bo inaczej on nie wróci na drogę prawą, bo inaczej zginie na wieki.

A wtedy stała się rzecz nadzwyczajna. Obraz Najświętszej Panienki zapłonął cały nadziemską jasnością, uśmiech ozdobił lica świętej Dziewicy i dał się słyszeć głos:

— Tych, którzy mnie zwali »Panną Łaskawą« nie mogę karać tak, jak na to zasłużyli. Dla upamiętania ich, wypuszczę ich jednak ze swej opieki dotąd, póki sami nie wrócą do mnie. Gdy lud mój pozna swe błędy, wtedy wrócę do niego.

Chciał kapłan-staruszek zapytać o coś więcej, ale owa jasność niezwykła znikła a obraz był w ołtarzu taki, jak przedtem.

Gdy po odprawionej Mszy świętej ksiądz wyszedł z kościoła, nie mógł świata poznać. Po całej okolicy rozszalała się wichura i siekła twarze mrozem i śniegiem. Ciemne chmury przewalały się nad ziemią i zasypywały ją białymi płatami. Z każdym dniem mróz się wzmagał i coraz bardziej wichura szalała.

Mieszkańcy Kmitowa nie odczuwali początkowo tej nagłej zmiany w przyrodzie, bo grzała ich zabawa i wszelaka rozpusta. Powoli jednak, gdy zapasy w komorach zaczęły się wyczerpywać a tu i ówdzie ziąb niebywały zaczął do kości się dobierać, co niektóry spoglądał w przyszłość ze strachem. Mimo to milszą im była zabawa i hulatyka, niżeli myśl o Bogu i kościele.

Wśród zabawy i wesołości spłynął grudzień i większa połowa stycznia. Dopiero gdy zimnica poczęła się na dobre dobierać do ich skóry, ten i ów wymykał się ukradkiem przed sąsiadami z chaty i szedł do kościoła, aby tam westchnąć do Boga o zmiłowanie.

Z każdym dniem ludzi w kościele przybywało, aż nadszedł dzień drugiego lutego, święto Oczyszczenia Matki Najświętszej. Od samego rana tłok zrobił się w kościele niebywały. Lud klęczał kornie i wznosił modły o zmiłowanie, o przebaczenie win wielkich.

Wszedł kapłan-staruszek na ambonę z licem jaśniejącem radością, a gdy rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — tysiące ust odrzekło:

— Na wieki wieków, Amen.

Długo prawił wzruszonym głosem kapłan nauki święte ludowi, a zeszedłszy z ambony rozpoczął Mszę świętą, wśród której płonęły wszystkie świece na ołtarzu a w piersiach zgromadzonych wszystkie serca biły czcią ku Maryi.

A ciepło to serdeczne wypłynęło z kościoła i rozlało się po całej okolicy, a od niego zelżyły mrozy i nie dokuczały więcej ludziom.

Na pamiątkę tego światła, jakie padło na lud w dniu tym, poczęto święcić w Kmitowie woskowe świece, a zwyczaj ten rozszedł się wkrótce po całej Polsce. Na tę samą pamiątkę w czasie od 8 grudnia do dnia 2 lutego panują zwykle u nas najsilniejsze mrozy.

Ant. St. Bassara.

Na Gromniczną.

W dzień Oczyszczenia świętej Madonny
Pospieszmy wszyscy w świątyń podwoje,
Gdzie na nas spłyną Boskich łask zdroje,
Kędy z kadzideł wzlata dym wonny.

Z wosku pszczelnego świece zaświećmy,
Co skrzętnej pracy znakiem jest plonu;
A blask pokory w twarzy rozniećmy
I wznośmy prośby do Boga tronu!

Gdy ksiądz wśród modłów świece poświęci,
Nieśmy je ze czcią w rodzinne chaty,
Jak każe zwyczaj z dawnemi laty,
Złóżmy za obraz wiarą przejęci!

A kiedy w lecie za wielkim skwarem
Niebo się w czarną oblecze chmurę,
Piorunów błyski grożą pożarem
Lęk przejmie ludzkość oraz naturę,

To wtedy ufni z głęboką wiarą
Świećmy gromnicę z modły rzewnemi:
By Bóg ochraniał plony na ziemi,
Aby grom z niebios nie był nam karą!

A gdy kres życia na nas przychodzi
I dreszcz śmiertelny ciało opadnie;
W sercu zwątpienie, rozpacz się rodzi,
A duszę wielka trwoga owładnie,

Za konającym prośmy w pokorze,
Gdy płoną smętne gromnicy blaski:
„O, Stwórco świata, w dowód Swej łaski
„Daj stanąć duszy w nieba przestworze!“

Szanujmy wiary naszej obrzędy,
I poświęcane uczcijmy rzeczy,
A wtedy w życiu zawsze i wszędy
Bóg nas zachowa w swej świętej pieczy.

Teofil Tryczyński.

Pokuta Anioła.

Legenda ludowa.

Żył na ziemi człowiek biedny, który miał sześcioro dzieci i leżał chory śmiertelnie. Pan Bóg mówi do Aniołów:

— Idź na ziemię i przynieś mi tego chorego człowieka duszę, bo już dłużej nie daję mu życia.

Aniołowi zrobiło się bardzo żal tych dzieci i prosił Pana Boga, aby mu przydłużył życie. Wtedy się Pan Bóg rozgniewał i mówi do Anioła;

— Idź do morza, tam na dnie leży kamyczek i przynieś go tu.

Anioł poszedł do morza i przyniósł ten kamyczek, a wtedy Pan Bóg rzekł:

— Rozłup ten kamyczek.

Gdy to Anioł uczynił, wypadł z niego mały robaczek Pan Bóg mówi tedy do Anioła;

— Jako pamiętam o tym robaczku i o tych sierotach nie zapomnę.

Rzekłszy to, po duszę owego chłopa wysłał innego Anioła, a temu polecił pokutę na ziemi za powątpiewanie o miłosierdziu Bożem.



Posłuszny rozkazowi Bożemu, przybrał Anioł postać człowieka i zleciał na ziemię pokutować. Tu, jako człowiekowi, zachciało się jeść. Idąc przez wieś wstąpił do jednego człowieka i prosił o posiłek. Gospodarz oburzył się na to i mówi do niego;

— Tyś taki młody, tylko się wziąć do pracy lub służyć, to byś nie prosił o posiłek i nie włóczył się tak po świecie.

I nie dał mu nic.

Tak wędrując od wsi do wsi, od miasta do miasta, doszedł do królewskiej stolicy i zapukał do bramy pałacu królewskiego. Przyprowadzono go przed króla Król zapytał go, czego żąda. Gdy ten prosił o posiłek, król mówi do niego:

— Jeśli chcesz, to wstąp do mnie w służbę, a dostaniesz jedzenie, — za darmo ci nic nie dam.

Anioł zgodził się i wstąpił w służbę do króla.

— Musisz wypełniać wszystkie moje rozkazy — mówił król — inaczej cię odprawię.

Miał ten król dwa woły, które się nigdy nie wypasły. Dawano im najlepszą żywność, ale im nic nie pomagało. Król mówi więc do Anioła:

— Będziesz chodził koło tych wołów sam a jeśli je wypasiesz, to będziesz dalej u mnie służył.

Gdy Anioł chodził koło tych wołów, po krótkim czasie stały się bardzo tłuste. Wtedy król rzekł do Anioła:

— No, ten rozkaz dobrześ wypełnił. A teraz drugi rozkaz.

A miał ten król w lesie ogromny sad, w którym hodował różne zagraniczne zioła, ale im dzikie zwierzęta nie dały urosnąć i czyniły wielkie szkody. Wysłano tam więc Anioła, aby pilnował. Gdy Anioł pilnował przez kilka dni, wszystko się uspokoiło i więcej szkody nie było. Potem król nie miał Aniołowi jakiej pracy zadać, ale nie chciał go oddalać, bo wszystko dobrze wypełniał. Ministrowie króla wyczytali w kronikach królewskich, że sąsiedni król wygrał bitwę z tego króla dziadem i wygrał kraj od tego króla. Król wysłał więc Anioła z wojskiem, aby te kraje odbił od tego króla. Gdy ci żołnierze szli do tego króla przez las, stało tam wielkie mrowisko. Wojsko chciało je rozbić, ale anioł zabronił. Jadąc dalej, ponad wielką rzeką, ujrzeli wielką rybę. Wojsko chciało ją zabić, ale Anioł nie pozwolił na to. Skoro przyjechał do króla, wojny z nim nie rozpoczynał, ale mu opowiedział wszystko. Wtedy król mówi do niego:

— Kraje twemu panu oddam wszystkie bez przelewu krwi ze względu na twoje miłosierdzie, ale mi musisz wypełnić te rozkazy, które ci zadam. Gdy je dobrze wypełnisz, oddam ci kraje.

Rzekłszy to wziął dwa korce prosa, porozsiewał po swoim ogrodzie, w którym była wielka trawa. Uczyniwszy to, rzekł do Anioła:

— Masz mi to proso wyzbierać za tydzień, bo śmierć twoja, gdy nie wyzbierasz.

Anioł modlił się do Boga, aby mu dopomógł. Gdy się modlił, przyszły mrówki i proso pozbierały do naczyń. Anioł podziękował Bogu, że mu zesłał pomoc i poszedł do króla powiedzieć, że rozkaz spełniony. Król wyszedł sam popatrzyć i zdziwił się bardzo, że w tak krótkim czasie to wypełnił i mówi:

— Jeszcze jeden rozkaz a kraje ci oddam.

Rzekłszy to, zawołał go na brzeg morza, zdjął pierścień ze swego palca i wrzucił go w morze.

Za trzy dni — rzekł do Anioła — masz mi go oddać — i odszedł.

Anioł znowu pomodlił się i ryba, której on nie kazał zabijać, wyłowiła pierścień i wyrzuciła na brzeg. Anioł wziął pierścień i zaniósł go do króla. Król nie skasował słowa i podpisał, że zwraca zabrane kraje swemu sąsiadowi. Anioł wziął pismo potwierdzające oddanie krajów i wrócił do swego króla. — Ten ucieszył się bardzo, że mu Anioł przyniósł potwierdzenie oddania krajów i chciał go zrobić swoim zastępcą, ale on rzekł:

— Nie chcę twoich zaszczytów, bo nie jestem z tego świata, bom Anioł i tu na ziemi pokutuję.

Powiedziawszy to, znikł i wrócił do nieba, skąd był przyszedł na ziemię.

Jako ten Anioł pokutował, tak i my, Polacy, teraz pokutę czynimy. Musimy słuchać rozkazów swoich królów obcych. Ale, gdy minie czas pokuty, powrócimy do dawnej chwały, jako ten Anioł wrócił do nieba.

K. Polak.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ IX.

Próby Penkroffa. — Wyspa czy stały ląd. — Projekt inżyniera. — W lesie. — Dym.

Marynarz w kilku słowach opowiedział towarzyszom co się stało. Wypadek mógł mieć nadzwyczaj ważne następstwa, to też przykre wywarł wrażenie na wszystkich. Nab tylko jeden, całkiem oddany radości, że nareszcie odzyskał ukochanego pana, nie zważał wcale na to, co mówił Penkroff. Harbert podzielał w pewnej mierze niepokój marynarza, reporter zaś po chwili rzekł spokojnie:

— Doprawdy, Penkroffie, wszystko mi jedno. Alboż to nie mamy teraz naszego inżyniera? Wszak on żyje, a więc niezawodnie znajdzie sposób rozniecenia ognia.

— Ale jakim sposobem?

— To już jego rzecz.

Penkroff nic nie odpowiedział, gdyż w gruncie i on także pokładał nieograniczone zaufanie w inżynierze. Cyrus Smith był dla nich ideałem doskonałości, uosobieniem wszelkich nauk i mądrości. Z nim niczego nie trzeba było się lękać, nie było czego rozpaczać. Teraz jednak inżynier bardzo osłabł, gdyż przeniesienie nadzwyczaj go zmęczyło; ani podobna było uciekać się teraz do jego pomysłowości. Na domiar złego zapasy były zjedzone lub porwała je woda i żadnych już nie miano zasobów, ani też ognia, aby cokolwiek ugotować. Trzeba było coś obmyśleć. Najpierw przeniesiono Cyrusa Smitha do głównego korytarza i tam usłano mu łoże z mchu i trawy morskiej; ułożyli go ostrożnie, gdyż wiedzieli, że mocny i spokojny sen lepiej go pokrzepi niż posiłek.

Noc zapadła a z nią powstały tak wielkie przeciągi, że dalszy pobyt w Kominach stawał się nader niewygodnym. Cyrus Smith byłby się znalazł w bardzo złych warunkach, gdyby towarzysze nie ogołocili się z części swego ubrania i nie pookrywali go, aby się nie przeziębił. Zimno stawało się coraz dotkliwsze i na nieszczęście nie było na to rady. Marynarz próbował najrozmaitszych sposobów rozniecenia ognia; Nab pomagał mu, jak mógł. Nazbierał suchego mchu i uderzał nad niemi dwoma kamykami jeden o drugi; wprawdzie poczęły powstawać iskry, ale mech, jako niełatwo zapalny, nie zajął się, tem bardziej, że iskry te, które w rzeczywistości były tylko rozpalonym do białości krzemieniem, nie miały takiej siły, jak wytwarzające się ze stali w zwyczajnych krzesiwkach.

Penkroff, jakkolwiek nie wierzył w powodzenie tego środka, zaczął jednak trzeć bardzo mocno jeden o drugi dwa kawały suchego drzewa, jak to mają robić dzicy, chcący wzniecić ogień. Ale próba ta nie doprowadziła do niczego więcej, jak tylko do tego, że sami rozgrzali się daleko mocniej niż drzewo, które tak zawzięcie tarli. Po godzinnej pracy Penkroff, cały oblany potem, rzucił z gniewem drzewo.

Trzeba więc było wyrzec się rozniecenia ognia. Gedeon Spillet powtórzył towarzyszom ze dwadzieścia razy, iż dla Cyrusa Smitha byłoby to igraszką, ale Cyrus Smith spał snem twardym. Nie było rady, udali się na spoczynek; Top rozciągnął się przy nogach swego pana.

Nazajutrz rano inżynier, obudziwszy się około godziny ósmej, ujrzał swoich towarzyszów zgromadzonych około niego; uśmiechnął się do nich i znów zapytał:

— Wyspa czy ląd?

Wyraźnie myśl ta owładnęła całą jego istotą.

— Masz tobie! — zawołał wesoło Penkroff. — Dowiemy się, gdy pan zostaniesz naszym sternikiem.

— Zdaje mi się, że mogę już spróbować moich sił — odrzekł i wstał bez wielkiego trudu.

— Wyśmienicie! — zawołał marynarz.

— Głód był główną przyczyną mego osłabienia, dajcie mi się czem posilić. Wszak macie ogień?

— Niestety! panie inżynierze, nie mamy ognia; czyli raczej mieliśmy, lecz już go niema.

I Penkroff opowiedział wczorajsze wydarzenie. Zabawił bardzo inżyniera opowieścią o owej jedynej jednej zapałce, i o wczorajszych pokuszeniach wzniecenia ognia sposobem, praktykowanym u dzikich ludów.

— Pomyślimy o tem — odrzekł inżynier — a jeżeli nie wyszukamy czegoś, coby nam zastąpiło hubkę...

— Więc co? — zapytał marynarz.

— Więc narobimy sobie zapałek.

Penkroff sądził, że chyba nie przyjdzie to tak łatwo, lecz nic nie odpowiedział.

Działo się to dnia 28 marca. Jasne słońce weszło ponad horyzontem morza. — Rozbitki wyszli z Kominów.

Inżynier usiadł na skale i powiódł wzrokiem dokoła. Harbert podał mu parę garści czarnych ślimaków morskich, zdatnych do jedzenia i trochę porostów, mówiąc:

— Oto wszystko, czem panu służyć możemy.

— Dziękuję ci, młodzieńcze, to dostateczne — przynajmniej na dziś rano.

I spożył z apetytem ten skromny posiłek, poczem napił się świeżej wody, której Nab zaczerpnął z rzeki dużą muszlą. Po śniadaniu rzekł do towarzyszów:

— Więc tedy, moi kochani, nie wiecie dotąd, czy los rzucił was na ląd, czy na wyspę?

— Nie, nie wiemy, panie Cyrusie — odrzekł Harbert.

— Dowiemy się jutro — rzekł inżynier.

— Trzeba myśleć o rozniecaniu ognia — rzekł marynarz, który nieustannie myślał o tem.

— Będzie i ogień — odpowiedział Cyrus Smith, a po chwili dodał — czy mi się zdaje, że wczoraj, gdyście mnie nieśli na noszach, widziałem ku wschodowi górę, panującą nad całą okolicą?

— Tak i góra ta musi być dość wysoką.

— Dobrze, jutro wejdziemy na jej szczyt, aby się przekonać, czy ziemia ta jest lądem, czy wyspą; nie wiedząc o tem, niczego przedsięwziąć nie można.

— Ależ można przynajmniej myśleć o rozniecaniu ognia — zawołał marynarz.

Cyrus Smith zamyślił się. — Po niejakim czasie rzekł:

— Moi przyjaciele, położenie nasze jest zapewne opłakane, ale niema nic nadzwyczajnego. Albo znajdujemy się na lądzie stałym, a wtedy z mniejszemi czy większemi trudnościami dostaniemy się do jakiegoś zamieszkałego kraju, albo jesteśmy na jakiejś wyspie. Jeżeli ona jest zamieszkana, postaramy się porozumieć z mieszkańcami, jeżeli jest bezludna, musimy sami sobie radzić. Zdaje się jednak, że jest to ziemia, leżąca wpośród oceanu Spokojnego. Jeśli wybrzeże to stanowi część jakiejś bezludnej wyspy, wtedy trzeba nam będzie myśleć o urządzeniu się tak, jak gdybyśmy mieli pozostać tu na zawsze.

— Na zawsze? — zawołał reporter.

— Lepiej odrazu przygotować się na gorsze, wtedy lepsze stanie się miłą niespodzianką.

— Dobrze pan mówisz — zawołał Penkroff. — Możemy jednak pocieszać się nadzieją, że wyspa ta niekoniecznie ma być tak nadzwyczaj odległą od jakiejś drogi, uczęszczanej przez okręty.

— Ale czy osłabiony, jak jesteś, będziesz pan w stanie przedsięwziąć zaraz jutro tak utrudzającą wycieczkę? — zapytał Harbert.

— Tak sądzę, lecz pod warunkiem, że Penkroff i ty popiszecie się wielkiemi myśliwskiemi zdolnościami — odparł inżynier.

— Mówisz pan o zwierzynie? O! gdybym upolowawszy, miał ją przy czem upiec.

— Upoluj tylko, Penkroffie, o reszcie pomyślimy — rzekł inżynier.

Stanęło na tem, że Cyrus Smith i Gedeon Spillet pozostaną w Kominach, aby zbadać miejscowość, zaś Nab, Harbert i marynarz udadzą się do lasu, który raz już zwiedzali, aby nagromadzić jak największy zapas ptactwa i zwierzyny, jakoteż drzewa na opał.

Wszyscy trzej tedy wyszli około dziesiątej rano, ale każdy w innem usposobieniu; Harbert pełen nadziei, Nab uradowany, a Penkroff markotny, mruczał pod nosem:

— Jeśli za powrotem znajdę ogień w Kominach, to chyba piorun przyjdzie go zapalić.

Przeszli urwiste wybrzeże; stanąwszy przy skręcie rzeki, marynarz rzekł do towarzyszów:

— Czem będziemy pierwej, drwalami, czy myśliwymi?

— Myśliwymi — odrzekł Harbert — bo oto Top już nadstawia uszu.

— Polujmy więc, następnie pomyślimy o drzewie. Teraz pójdźmy za Topem, który coś goni.

Szli w prostym kierunku wgłąb lasu i tu tak, jak za pierwszym razem, w przeciwnej stronie lasu, napotykali najwięcej drzew, należących do rodziny sosen. Dla zabezpieczenia się od zabłąkania, marynarz gałęziami wytykał przebywaną drogę. Ale źle może zrobili, nie idąc, jak pierwszym razem, z biegiem rzeki, gdyż tu nie spotykali żadnych zwierząt.

— Ej! Penkroffie — rzekł Nab z odcieniem szyderstwa w głosie — coś do upieczenia zwierzyny, jaką dotąd upolowałeś, pan mój nie będzie potrzebował rozpalać wielkiego ognia. A co do tego, nie wierzysz, że rozpali ogień?

— Uwierzę, jak go zobaczę na ognisku.

— Zobaczysz, skoro mój pan tak powiedział.

— Będziemy to widzieli.

Tymczasem słońce coraz wyżej wzbijało się na horyzoncie, a rozbitki coraz głębiej zapuszczali się w las. Harbert zrobił tu bardzo pożyteczne odkrycie, wynalazł bowiem drzewo, którego owoce zdatne były do jedzenia. Orzeszki były zupełnie dojrzałe, to też na polecenie Harberta uraczyli się niemi do woli.

— No! — rzekł Penkroff — mamy porosty wodne zamiast chleba, ślimaki surowe zamiast pieczeni a nawet orzechy na wety. Właśnie to obiad dla ludzi, co nie mają ani jednej zapałki.

— Co tam Top robi? — zawołał Nab, zdążając w stronę, w której pies, szczekając, znikł w gęstwinie, gdzie także kwik jakiś słyszeć się dawał.

Marynarz i Harbert poszli za nim. Jeżeli pies wytropił jaką zwierzynę, należało teraz myśleć nie o tem, jak ją piec, ale o tem, żeby ją upolować. Wszedłszy w gąszcz, zobaczyli, jak Top szamotał się z jakiemś czworonożnem stworzeniem. Był to rodzaj świni, dwie i pół stopy długi, maści czarno-brunatnej, pokryty ostrą, rzadką siercią. Harbertowi zdawało się, że jest to kabia. Kabia nie bronił się nawet psu, wytrzeszczył głupowate swe wielkie oczy, osadzone w grubej warstwie tłuszczu i nie ruszał się z miejsca. Może i psa i ludzi widział po raz pierwszy.



Rozbitki wyszli z Kominów.

Nab podniósł duży kij, który trzymał w ręku, aby nim uderzyć i zabić gryzonia, gdy ten wydarł się z zębów Topa, zostawiając mu tylko kawałek ucha, zakwiczał głośno, obalił Harberta, przeskoczył przez niego i uciekł w głąb lasu.

— A to łotr jakiś! — krzyknął Penkroff.

Wszyscy w ślad Topa pobiegli za zwierzem i już go doganiali, lecz zdążył wpaść do głębokiego bagniska, okolonego wiekowemi sosnami.

Nab, Harbert i Penkroff stanęli nieruchomi, Top rzucił się do wody, ale kabia ukrył się w głębi bagna, tak że go widać nie było

— Poczekajmy, niezadługo pokaże się na powierzchni, aby odetchnąć.

Top nie przestawał pływać; Penkroff, Harbert i Nab rozstawili się tak, aby zwierzęciu przeciąć odwrót, a pies szukał go w wodzie.

Harbert miał słuszność, po kilku minutach zwierz ukazał się na powierzchni; Top natychmiast rzucił się na niego, nie pozwolił mu dać nura i niezadługo kabia wyciągnięty na wybrzeże, został ugodzony przez Naba śmiertelnym ciosem.

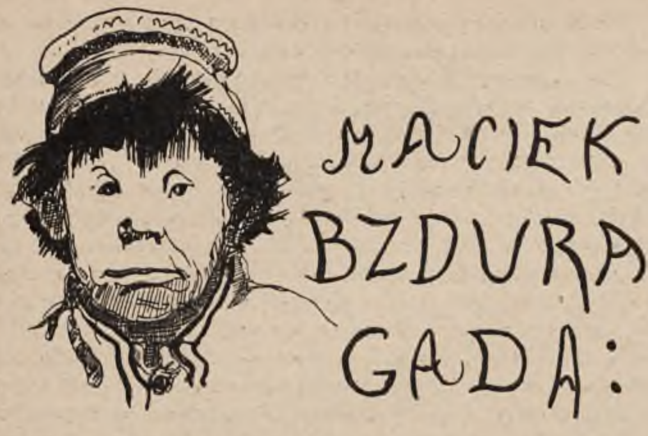
— Wiwat! — krzyczał Penkroff — dajcie mi rozżarzonych węgli, a zobaczycie, jak go przyprawię.

Nab wziął na plecy upolowaną zwierzynę a marynarz, miarkując po słońcu, że musi być już druga godzina, zakomenderował odwrót. W pół godziny doszli do miejsca, w którem rzeka zwracała się w inną stronę T raz urządzili tratwę i zapełniwszy ją drzewem, równie jak pierwszym razem, spuścili na rzekę, chociaż Penkroff powtarzał ciągle, iż drzewo na nic się nie przyda, kiedy niema ognia. Kiedy dochodzili do Kominów, nagle Penkroff krzyknął z całych sił i zaczął klaskać w dłonie.

— Patrzcie, patrzcie! — wołał.

Ponad skałami, górującemi nad Kominami, wznosiły się kłęby dymu, różne w powietrzu kreśląc zygzaki.

(Ciąg dalszy nastąpi).



W nasy Zatracony Wsi jest wójt, bo coby to była za gmina, w któryby wójta nie było. Nas wójt jest niby taki, jak gdzieindziej, ale przecie trochę inaksy. Ma on wszyćkie rzecy, jakie wójtowi do jego urzędu potrzebne, to jest piecątkę, laskę, kalitę i głowę, ino mu jednej rzecy trochę brakuje, to jest rozumu.

Wójt bez piecątki, to jak baba bez warzochy. Cy przyjdzie paśport wystawić, cy rozcepis potwierdzić, cy insą jaką rzec za wazną uznać to piecątka potrzebna, bo przecie pięścią piecątki nie wywali.

Bez lagi wojt takze nijak się obejść ni moze. Bez lagi, to byle chłystek we wsi chodzi a laga wójtowi potrzebna, bo mu dodaje wzięcia i powazania. Kuzde zarządzenie wydane z lagą w garści nabira większego znacenia.

Wójt bez kality obejśćby się w dzisiejsych drogich casach mógł prędzy, ale i ona nie zawadzi, bo jak casem rozsądzenie jaki sprawy dobrze wypadnie, to moze w ni dla dzieci przynieść osełkę masła abo plaskankę syra.

Bez głowy wójtowi w Zatracony Wsi takzeby nijako było, bo na coby w zimie wsadził capkę, a latem kapelus? cemby kiwał, jak pisarz na radzie różne wazne ustawy uchwala? Juści ze palcem nie, ino głową.

Padają ludzie, ze w innych wsiach, to rada gminna różności dla gminy uchwala: radni radzą, wójt kieruje obradami i sam doradza. Moze tak jest gdzieindzi, ale nie w Zatracony Wsi. U nas, co prawda, schodzą się radni kuzdego miesiąca na radę, ale o potrzebach gminnych nie gadają. Wawrzek opowiadają, jak się im źrebica ożrebiła; Symek po ile cielęta sprzedali; Kuba o furmance z zydami do Łańcuta; Walek jak się Macańdzyna z Przywarzyną po pyskach wychlastały — i na takich obradach zejdzie parę godzin. A temcasem pisarz gmyrda piórem po papirze różne ustawy a jak wszyćkie wypise, to się pyta:

— Panowie Rada, cy uchwalacie to, co ja tu napisał?

Na takie pytanie wójt się budzą i kiwają głową a za niemi kiwają wszyscy radni i padają:

— Uchwalamy.

Potem przychodzi najcięzsa i najwazniejsa robota dla wójta na radzie: przybicie piecątki. Myślicie, ze to łatwa rzec? Acha! gdzietam! Nim się ją wykręci ze smatki, nim się okopci nad lampą, nim się ją raz i drugi przywali na papir, to jaz cłekowi wodą na łeb wylizie.

W insy wsi to tam i wójcia inaksi, ale dla Zatracony Wsi, to tam i taki wystarcy, bo wszyćko tu tak się robi, jak chce Mosiek i Bartek Kuternoga, ftóry juz śtyry razy był na Saksach i dwa lata siedział w kryminale.

Z TYGODNIA.

Z Sejmu krajowego. Sejm krajowy pracuje głównie w komisyach, obrady pełnego Sejmu odbywają się tylko co tygodnia. Na posiedzeniu w sobotę 27 stycznia, przed przejściem do porządku dziennego udzielił marszałek głosu biskupowi gr.-kat. ks. Czechowiczowi, który ze względu na to, że rokowania między zastępcami Polaków i Rusinów w sprawie reformy wyborczej jeszcze trwają i że jest nadzieja, iż doprowadzą do pomyślnego załatwienia w sprawie tak ważnej dla wspólnego pożycia obu narodów, zamieszkujacych ten kraj, postawił wniosek, aby celem usunięcia przeszkody zamknąć posiedzenie z tem, aby marszałek termin następnego wyznaczył pisemnie. Marszałek hr. Badeni zarządził głosowanie nad tym wnioskiem, który Sejm uchwalił. Następne posiedzenie Sejmu naznaczone zostało na sobotę 3 lutego.

Wynik wyborów w Niemczech. Wybory do parlamentu zakończyły się dnia 25 stycznia, jako w dniu ostatnich wyborów ściślejszych i przyniosły wielką klęskę rządowi niemieckiemu. Stronnictwa idące z rządem, znajdują się obecnie w mniejszości; posiadają zaledwie 167 mandatów, podczas gdy większość wynosi 197 głosów. Wszystkie głosy opozycyi obliczają na 203 tj. o 4 głosy ponad większość. Wybory skończyły się zatem stratami wszystkich stronnictw na korzyść socyalistów, którzy zdobyli 110 mandatów W poprzednim parlamencie socyaliści mieli 53 posłów. Polaków wybrano 18, w poprzednim parlamencie było 20, straciliśmy zatem przez niezgodę stronnictw naszych dwa mandaty.

Z wojny włosko-tureckiej. Dwa francuskie parowce osobowe zostały przez włoskie okręty wojenne zatrzymane i zaprowadzone do portu włoskiego Cagliari, a mianowicie dnia 18 stycznia parowiec francuski »Carthage«, a nazajutrz parowiec »Manouba«. Parowiec »Carthage« został zatrzymany z tego powodu, że na pokładzie jego znajdował się lotnik Duval, jadacy ze swoim latawcem do Tunisu a Włosi podejrzewali, że Duval chce dostać się do Trypolisu i oddać swego latawca na usługi Turków. Parowiec francuski »Manouba« został zatrzymany przez pancernik włoski dlatego, że na pokładzie jego znajdowało się 29 Turków, należących do Towarzystwa Czerwonego Półksiężyca, niosącego pomoc rannym, których Włosi uważali za przebranych oficerów i żołnierzy tureckich, chcących dostać się do Tunisu. Zatrzymanie to wywołało ostry zatarg pomiędzy Francyą a Włochami. Oburzeni Francuzi parli rząd do kroków bardzo energicznych, ale ostatecznie rzecz została ugodowo załatwiona i Turcy uwolnieni. Bombardowanie nadbrzeżnych miejscowości w Trypolitanii przez Włochów trwa w dalszym ciągu. Gazety włoskie podają, że przytem Włosi mało ponoszą strat, Turcy zaś bardzo znaczne.

Z rewolucyi w Chinach. W stolicy cesarstwa chińskiego w Pekinie doszło już do najwyższego stopnia zamieszanie i bezład. Ogólne przerażenie wywołała wiadomość, jakoby cesarzowa - wdowa oświadczyła, iż zawezwie pomocy Japonii w celu stłumienia rewolucyi. Za radą kilku książąt w istocie cesarzowa-wdowa wystosowała do rządu japońskiego prośbę o pomoc. Panuje jednak zdanie, że Japonia odmówi swej pomocy. W Pekinie rozpoczęła się już sprzedaż kosztowności, znajdujących się w cesarskim skarbcu, z których dochód przeznaczono na dalsze prowadzenie wojny z rewolucyonistami. Nie ma ona już widoków powodzenia, gdyż rządy republikańskie panują już w ogromnej większości państwa a siły rewolucyonistów są przeważające.

KRONIKA.

Dodatkowe losowanie Podarków Szczęścia odbędzie się **12 lutego** b. r. Prosimy zatem wszystkich nowych prenumeratorów, którzy chcą brać w tym losowaniu udział, aby **niezwłocznie** przysłali przekazem prenumeratę całoroczną w kwocie **4 kor. 50 hal.** w zamian za co:

1) otrzymają wszystkie numera od Nowego Roku z początkami dwóch pięknych powieści, 2) otrzymają odwrotną pocztą wielki oprawny „Obrazkowy Kalendarz „Roli" na rok 1912, 3) zyskają możność wygrania wielkiego obrazu ***Matki Boskiej Częstochowskiej*** w ramach złoconych, albo pięknej dwutomowej książki p. t. ***Encyklopedya polska***, albo oprawnej książki z wieloma obrazkami p. t. ***Rolnik Wzorowy***, albo książki do nabożeństwa p. t. ***Kwiatek Seraficki***.

Nadto zawiadamiamy, iż posiadamy jeszcze pewną ilość okładek „Roli", które po otrzymaniu 50 halerzy odwrotnie wysyłamy.

Każdy, kto wylosował „Podarek szczęścia" powinien odwrotnie przysłać należytość na opakowanie i poleconą przesyłkę. Samo napisanie listu nie wystarczy.

(J. K.) **Uroczystość styczniowa.** Dn. 21 stycznia urządziło Koło T. S. L. w Busku odczyt przy obrazach świetlnych o roku 1863. Akademik Sawicki przedstawił dokładnie przebieg owej nieszczęśliwej a kilkanaście miesięcy trwającej walki, szamotania się ujarzmionego narodu z przemocą, a zakończył tem, że naród, który przelał morze krwi swojej, który zniósł z męstwem wszelkie męki wygnania i niewoli, zginąć nie może.

(J. K.) **Betleem polskie.** Kółko dzieci TSL. odegrało ubiegłej niedzieli w swojej czytelni w Złoczowie »Betleem polskie« Lucyana Rydla. Całość, która przyszła do skutku wśród ciężkich warunków, wypadła całkiem udatnie, dzięki niestrudzonej pracy kierowniczki tegoż Kółka. Dla młodziutkich widzów było to przedstawienie nadzwyczaj budujące.

(N. Z.) **Polska bursa ludowa.** Bursa ludowa w Samborze odbyła przed kilku dniami doroczne walne zgromadzenie. Towarzystwo Bursy posiada własny dom wartości około 80 000 kor., na którego budowę zaciągnięto dług w miejskiej kasie oszczędności 60.000 kor. Bursa może pomieścić 60 wychowanków, mieściła ich zaś w roku ubiegłym 52. Z tych uczęszczało do szkoły ludowej 10, do wydziałowej 13, a do seminaryum nauczycielskiego 29.

(J. K.) **Wypadek z bronią.** Przed kilkoma dniami uległ w Złoczowie nieszczęśliwemu wypadkowi Józef Weiser, właściciel wielkiej papierni w Sasowie. Będąc u znajomych, wybierał się wieczorem do domu, gdy nieostrożnie wkładając rewolwer do kieszeni futra, spowodował wystrzał. Kula przebiła futro i ubranie i utkwiła w klatce piersiowej wraz z pewną ilością futra, którą kula zabrała ze sobą. Sprowadzeni natychmiast lekarze wstrzymali krew płynącą z rany, kuli jednak wyjąć nie mogli. Stan nieszczęśliwej ofiary jest groźny. Tak więc mili czytelnicy, nie wiemy, skąd i gdzie może nas śmierć zaskoczyć. Jesteśmy najzdrowsi, bawimy się ochoczo, a za chwilę może nas Bóg przed swój sąd powołać. Pamiętajmy więc o tem, a wtedy nie ulękniemy się śmierci ni kary na sądzie Bożym.

(W. T.) **Obchód styczniowy.** W Płotyczy dn. 22 stycznia odbył się uroczysty obchód rocznicy powstania styczniowego. W kościele parafialnym odprawił ksiądz proboszcz żałobną mszę św. za poległych w powstaniu, potem wygłosił kazanie zaczynające się od słów: »Upaść może naród wielki, zginąć tylko nikczemny«. Nabożeństwo zakończono błagalną pieśnią »Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!«

Figiel złodzieja. Do jednego z agentów policyi lwowskiej, tropiącego bandę złodziei, zgłosił się znany mu dobrze złodziej zawodowy i oświadczył, że chce zostać »pomocnikiem policyi« i zaprowadzić agenta tam, gdzie są złodzieje. Ponieważ policya nie gardzi tego rodzaju usługami, więc agent przystał skwapliwie na propozycyę. Wówczas nowy »pomocnik« oświadczył, iż jest głodny i nie może brać się do roboty z pustym żołądkiem. Agent »zafundował« złodziejowi sutą kolacyę, po której ruszyli na połów. Złodziej, kołując długo, przyprowadził agenta pod więzienie, pokazał mu zakratowane okna i uśmiechając się filuternie, rzekł: »Panie inspektorze, oto tutaj są złodzieje, a jest ich co niemiara!« poczem, zanim agent ochłonął ze zdziwienia, zniknął w tłumie przechodniów.

(J. K.) **Skazanie zabójcy.** W numerze 47 zeszłego roku podała »Rola« w kronice, że pewien podpity rezerwista zamordował w Złoczowie w kawiarni swego towarzysza, zadawszy mu w okolicę wątroby śmiertelne pchnięcie bagnetem. Zabójca ów zwie się Jakubów, a przed kilku dniami został skazany przez sąd wojskowy na 3 lata twierdzy. Ileż to, mój Boże, dopuszczono się strasznych występków pod wpływem wódki! Ileż serc niewinnie zakrwawiono, ile jęków rozpaczy wydarł z naszej piersi rak alkohol, toczący ludzkość! A ileż to dusz rzucił na pastwę płomieni piekielnych! Jeden Bóg wie tylko! I kiedyż to się skończy? Wtedy, bracia mili, gdy nam lepiej smakować będzie książka polska, aniżeli wódka, gdy przyjemniej nam będzie siedzieć w czytelni, aniżeli w niechlujnym szynku pejsatego semity. Obyśmy byli jeszcze świadkami tego raju na ziemi!

Walka z kłusownikami. Niedawno temu w Czechach dwóch myśliwych wybrało się na polowanie. Idąc lasem posłyszeli nagle strzał. Pewni, że w pobliżu jest kłusownik, pospieszyli w kierunku strzału i wkrótce ujrzeli dwóch młodych kłusowników, dobijających sarnę.



Myśliwi chcieli złodziei leśnych przytrzymać, lecz nie było to łatwem, ci bowiem grozili strzelaniem myśliwi zaś, choć mieli dubeltówki nabite, użyć ich nie chcieli. Jeden z myśliwych wszakże, wytrąciwszy broń z ręki młodszemu »raubszycowi«, powalił go i ubezwładnił. Młodszy, aresztowany, wydał towarzysza, który również poszedł do więzienia za kłusownictwo.

(F. K.) **Samobójstwo z tęsknoty za krajem.** Dnia 15 stycznia w Cieszynie, na Śląsku austr., odebrał sobie życie wystrzałem karabinowym szeregowiec, niejaki Zawadil. Przyczyna samobójstwa była tęsknota za krajem ojczystym. Pochodził on bowiem z Morawy i nie mógł się zżyć z Cieszynem.

(J. B.) **Pożar.** Dnia 5 stycznia o godz. 9 wieczorem spaliła się stodoła drewniana Antoniego Szlachty w Polskiej Lutyni, na Śląsku austr. Stodoła spłonęła z szopami do szczętu, lecz dom mieszkalny zdołano uratować; ogień prawdopodobnie podłożono.

(F. K.) **Pożar.** Dnia 15 stycznia o godzinie 8 wieczór, wybuchł pożar w lodowni rzeźnika Żydera w Karwinie, na Śląsku austr. Spalił się dach i wewnętrzne urządzenie. Pożar powstał prawdopodobnie przez nieostrożność robotników, układających lód, którzy palili świece, stawiając je na drewnianych belkach.

(F. K.) **Nieszczęśliwa miłość.** Dnia 15 stycznia w Polskiej Lutyni zastrzelił się z rewolweru młodzieniec, około 20 lat majacy, z powodu jakiejś dziewczyny, w której się zakochał, lecz która go dla innego porzuciła. Samobójca przybył rankiem do jej mieszkania i tam najpierw postrzelił ją niebezpiecznie a potem siebie zastrzelił. Dziewczynę odwieziono do szpitala, gdzie walczy ze śmiercią.

Dyabeł straszący w lesie. Ciemnota ludu węgierskiego w pewnych okolicach może iść w porównanie nawet z ciemnotą chłopów w odległych guberniach Rosyi. Przed niedawnym czasem w pewnym lesie wieśniacy zauważyli jakieś niesamowite poruszenia w gęstych krzakach, piski i stękania. — Kobieta pewna, powróciwszy do wsi wieczorem, opowiedziała z przerażeniem sąsiadom, że ukazał się jej w lesie we własnej osobie dyabeł i zażądał, aby za tydzień o godz. 6 wieczór wieś złożyła mu 999 kor. inaczej połowa domów pójdzie z dymem i połowa ludzi umrze nagłą śmiercią. Przykazał też, by tego nikomu poza wsią nie rozgłaszali, w takim bowiem razie okup nie pomoże i katastrofa pożaru i śmierci nastąpi natychmiast.



Oznaczonego dnia zgromadzili się w lesie najstarsi gospodarze i owa kobieta, która sprawiała poselstwo dyabelskie, z żądaną a uzbieraną we wsi kwotą. Nagle przed zgromadzonymi w krzakach zaszeleściało i ukazał się sam dyabeł z rogami, z czarnym pyskiem, jak go na obrazku widzimy. Ale podczas przemowy jego dyabelskiej mości jeden śmiały gospodarz, który podejrzewał, że to oszustwo, obszedł krzaki i niespodziewanie chwycił pana dyabła z tyłu, wołając, że to łotr jakiś, nie dyabeł. Odważyli się wobec tego i inni obecni przystąpić do mniemanego dyabła, obezwładnili go i odprowadzili na posterunek żandarmeryi. Przeprowadzone śledztwo wykazało, że »dyabłem« był znany wyłżygrosz i oszust ze sąsiedniej wsi, a kobieta, która o jego obecności opowiedziała, była jego wspólniczką. Ostatecznie historya z dyabłem źle się skończyła: zamiast podzielić się ze wspólniczką owemi 999 koronami — podzielili się oboje więzieniem. Dobrze, że choć jeden rozumny i śmiały gospodarz się znalazł i odkrył »dyabła« — inaczej wieś straciłaby znaczną kwotę, a sprytny oszust hulałby sobie za nią.

Złośliwy figiel mrozu. Wielce zabawny choć przykry wypadek zdarzył się na jednej z ulic Pragi, wywołując wśród licznych przechodniów ogromną wesołość a równocześnie i litość dla niebacznej jego ofiary. Oto około godziny 12 w południe, kiedy właśnie wychodziły dzieci ze szkoły, jeden z chłopców, widocznie dla żartu, albo z głupoty, przytknął język do zmarzniętej kraty żelaznej, otaczającej jeden z pałacyków. Zmarznięta krata przy 20 stopniach mrozu pochwyciła tak silnie chłopca za język, że nie mógł go w żaden sposób oderwać. Około trzymanego na uwięzi za język chłopca zebrały się wkrótce tłumy przechodniów, nikt jednak z nich nie umiał mu poradzić w niedoli. Tymczasem chłopak, zanosząc się od płaczu, stał przy kracie, cierpiąc dotkliwy ból. Po długiej dopiero chwili przyniesiono z sąsiedniego domu gorącej wody, którą ogrzano kratę o tyle, iż chłopak mógł wkońcu oderwać od niej język, zostawiając na kracie całą z niego skórę.

Szaleństwa maryawickie. W sprawie rozłamu wśród maryawitów w Łodzi, czemu poświęcamy osobny artykuł, nadchodzą następujące szczegóły dodatkowe. Przywódczynią tego ruchu wśród maryawitów była — jak się okazuje — kobieta bez wykształcenia, żona robotnika fabrycznego, niejaka Mastalarzowa, 50 letnia matka sześciorga dzieci. Ona to już od października roku zeszłego miewała widzenia, z któremi zwierzała się przed sąsiadkami. Szerzone przez Mastalarzową opowiadania o widzeniach, podziałały na innych i wkrótce utworzyła się liczna grupa zwaryowanych maryawitek. Przed księdzem maryawickim Gołębiowskim padały one na twarz, czcząc w nim Boga Ojca. Nie pomagały żadne upomnienia, wreszcie zaczęto waryatki wydalać ze świątyni. Wówczas kobiety masami zbierały się na dziedzińcu, wyczekując na Gołębiowskiego, i tam oddawały mu hołd. Nie mogąc się opędzić przed natarczywością kobiet, zwierzchność kościelna maryawicka zwróciła się o pomoc do policyi, która aresztowała 31 kobiet.

Równocześnie z rozgrywającemi się w Łodzi scenami na tle szaleństw maryawickich, w Częstochowie utworzyła się nowa sekta odszczepieńców maryawityzmu. Ci odszczepieńcy, znani pod nazwą »chrześcijan ewangielicznych« rozpadli się obecnie na dwa odłamy, z których większy utworzył osobne zrzeszenie. Kierownik nowego zrzeszenia religijnego wniósł do władz podanie, podpisane przez swoich zwolenników, dla zalegalizowania »chrześcijan-katolików«, a w tych dniach wynajął pomieszczenie na kaplicę. Nowa sekta podobno pozostawia swym kapłanom i biskupom zupełną swobodę w zawieraniu związków małżeńskich, msze nakazuje odprawiać po zachodzie słońca, spowiedź uszną znosi itd. W takie to szaleństwa i niedorzeczności popadli maryawici, jakby Pan Bóg odebrał im rozum za opuszczenie Kościoła katolickiego.

Piękny przykład. We wsi Marzeninie, w Królestwie Polskiem, odbyła się w ubiegłym miesiącu zabawa okolicznej młodzieży wiejskiej, która trochę lepiej myśli, tj. czyta i kształci się sama, jak może. Zabawy takie odbywały się tam często w ubiegłych latach; warte one wspomnienia dlatego, że były bez trunków i krzyków, zato można było przysłuchać się śpiewom i deklamacyom. Każdy przyzna, że zabawa

godziwa jest konieczna, bo ona ludzi ze sobą łączy i brata, a nawet poprostu myśl odświeża do nowego życia, lecz tylko wtedy jest korzystna i pożyteczna, gdy się odbywa w stanie trzeźwym a nie podchmielonym. Otóż młodzież marzenińska, zważywszy szkodliwość wódki, umyśliła tę zabawę upamiętnić, nie rozbiciem głowy komuś, jak to zwykle bywa, ale wyrzeczeniem się picia wódki i piwa i palenia tytoniu. Gdy się bawiono ochoczo, trzeźwo i posilano przy biesiadnych stołach po śpiewach i deklamacyach, jeden z młodych zabrał głos, mówiąc jaka to szkodliwa jest wódka i tytoń dla człowieka, jakie pociąga straty i jak poniża jego godność ludzką. Człowiek ze swym słabym charakterem, nie pomny na to, zobaczywszy kieliszek, zapomina o wszystkiem. Jakby to dobrze było przyjść sobie samemu z pomocą i uwolnić się od tych piekielnych pokus — Wreszcie przytoczył mówiący, że w innych stronach gminy uchwalają zamykanie szynków, że całe wsie wyrzekają się picia i palenia. A u nas, choć niema publicznego szynku, ludzie się jeszcze gorzej rozpajają w tajnych szynkach, których tu nie brak. Jak to niedawno opisano pewną gminę w gazetach za to, że na wyborach urzędników gminnych rządziła wódka a nie dobro ogółu. Przemówienie odniosło pożądany skutek, bo, choć nie wszyscy uczestnicy zabawy zrozumieli doniosłość odrzucenia trunków, jednak kilkunastu wyrzekło się picia i palenia. Nie brakło podniosłych scen, bo kiedy przystąpiono do zapisywania się na listę trzeźwości, miejscowy organista, człowiek poważny, trzymanego w zębach papierosa cisnął o ziemię i podeptał mówiąc: »raz koniec złemu nałogowi!«

Zdobycie oazy w Trypolisie. Jak już pisaliśmy, w piaszczystym tym kraju znajdują się miejsca żyzne, gdzie rosną drzewa, rozciągają się uprawne pola i mieszkają Arabowie.



Obrazek nasz przedstawia, jak oddział wojska włoskiego po długiej walce z Arabami, którzy bronili się zawzięcie w oazie, zdobył ją nakoniec i wpadł z bronią w ręku między arabskie chaty.

Zabawne zdarzenie wyborcze. W pewnem miejscu w Westfalii odbyły się wybory sołtysa gminy. W dniu wyborów przybył do urny tylko jeden wyborca nazwiskiem Alfred Maier. Na zapytanie komisarza wyborczego, kogo wybiera, odpowiedział: »Głosuję na kapitalistę Alfreda Maiera«. Po dokonanym pierwszym akcie wyborczym komisarz wyborczy odzywa się: »Ponieważ wszystkie oddane głosy, to jest głos pański, padły na kapitalistę Alfreda Maiera, zapytuję się, czy pan wybór przyjmujesz?« »Oświadczam — brzmiała odpowiedź — że wyboru nie przyjmuję. Przystąpiono do drugiego wyboru i znów oddany został jeden głos na kapitalistę Alfreda Maiera, który znowu wyboru przyjąć nie chciał i dopiero po trzecim akcie wyborczym oświadczył poważnie: »Ponieważ przekonuję się, że wola ludu pragnie mieć mnie sołtysem, więc wybór przyjmuję«. Ciekawie objawiła się w tym wypadku »wola ludu«, którego przy wyborach wcale nie było.

Ukryte składy broni Oto jedna ze scen, które obecnie w wojnie włosko tureckiej są na porządku dziennym. Włosi, wypłaszając Arabów z ich obronnych stanowisk i kryjówek, natrafiają raz wraz na ukryte w podziemnych grotach i piwnicach składy broni i nabojów.



Nasz dzisiejszy obrazek przedstawia właśnie moment, jak żołnierze włoscy, odkrywszy taki podziemny skład nieprzyjacielski, wymierzyli lufy karabinów w strzegacych go Arabów, którzy gotują się do obrony na śmierć i życie.

Dobroczynna kradzież. W pewnem wielkiem mieście we Francyi zdarzył się zabawny przypadek. Pewien kupiec zauważył brak w swojej kasie 10.000 franków. Naturalnie wraz z pieniądzmi znikł i jego kasyer. Pobiegł więc do jego mieszkania i tam dowiedział się, że przeniewierca wyjechał tegoż rana do miejscowości Enghien. Pierwszym pociągiem puścił się za nim. W 20 minut potem znalazł się już w miejscowem kasynie, atoli urzędnik nie chciał go wpuścić do sali gry; dopiero zgodził się pod warunkiem, że się zachowa cicho i przyzwoicie. Nie zastawszy nikogo, poszedł do restauracyi, skąd po kilku godzinach wrócił znów do kasyna. I akuratnie zobaczył swojego kasyera w sali stołowej. Kasyer, ogoliwszy twarz i wystroiwszy się elegancko, zmienił się całkowicie, ale ścigajacy go, zbliżywszy się na palcach, położył rękę na jego ramieniu i szepnął mu do ucha: »Jesteś złodziejem; przyrzekłem nie robić awantury dlatego podnieś się cicho i chodź ze mną«. »Jestem posłuszny — wybąknął kasyer — ale wierzaj mi pan, nie jestem tak winny, jak się w rzeczywistości wydaje. Ukradłem 10 tysięcy franków, ale wygrałem niemi 40 tysięcy, więc zwrócę pieniądze, które się panu należą«. — »Które mi się należą? — powtórzył całkiem już innym tonem kupiec — nie, mój kochanku; ponieważ masz szczęście, więc graj dalej; ja należę do połowy. Dotąd nie 10 lecz 20 tysięcy franków już mi się należy«. I wyszli ze sobą pod ramię, jak najlepsi przyjaciele. Dobry interes zrobił więc ów kupiec na kasyerze, który go okradł, ale w grze miał szczęście.

Wytrzymała samobójczyni. W pewnem mieście we Francyi postanowiła w tych dniach zakończyć życie 16-letnia służąca, nazwiskiem Rogueda. W tym celu odkręciła w swoim pokoiku kurek świecznika gazowego i oczekiwała śmierci. Ta jednak nie nadchodziła, aby więc zgon przyspieszyć, wypiła butelkę trującego płynu, gdy zaś i to nie pomogło, wyskoczyła z okna trzeciego piętra na podwórze. Podniesiono ją nieprzytomną i odwieziono do szpitala, tam jednak lekarze, opatrzywszy silnie potłuczoną, orzekli, że życiu jej nie zagraża niebezpieczeństwo.

Kopalnie soli w Cyrenajce. Kraj zajmowany obecnie przez wojska włoskie, nie jest pozbawiony bogactw przyrodzonych, między innemi płodów kopalnianych. Tak np. w pobliżu Benghasi, głównego miasta portowego i stolicy prowincyi Cyrenajka, która, jak wiadomo, prócz Trypolisu, stanowi przedmiot wojennego sporu, znajduje się olbrzymie słone jezioro, dostarczające krajowcom wielkiej ilości soli kuchennej. Jezioro to, parujące silnie w porze letniej, zostawia na brzegach gruby osad czystej soli, którą krajowcy wydobywają sposobem naturalnym lub też z pomocą maszyn, dostosowanych do dobywania tego rodzaju kopalin. Uzyskaną sól zgarniają, jak to nasz obrazek przedstawia, w wysokie kopce, a następnie przewożą umyślnie w tym celu zbudowanemi kolejkami wąskotorowemi do miejsca zbytu.



W okolicy owego jeziora rozwinął się skutkiem tego ożywiony ruch przemysłowo handlowy, a cała miejscowość zaliczana jest do największych tamtejszych siedlisk targowych i wytwórczych. Zamieszczony obrazek odtwarza wygląd tej kopalni, a regularne szeregi wielkiej liczby kopców nagarniętej soli dają wyobrażenie o tem, jakie jej masy dobywać można z owego jeziora.

Milionowy spadek i zwaryowana trąba. Podczas przedstawienia w teatrze w stolicy Hiszpanii, w Madrycie, bardzo niemiłą niespodziankę sprawił muzykalnej publiczności jeden z członków orkiestry, grający na trąbie, Antoni Bayona, grał bowiem ogromnie fałszywie. Po przedstawieniu kazał kapelmistrz przywołać grajka i począł z miejsca łajać go, pytając, czy przypadkiem nie zwaryował, razem ze swoją trąbą, żeby coś podobnego uczynić. Grajek, nie broniąc się wcale, wcisnął kapelmistrzowi do ręki jakiś wycinek z gazety. W tym wycinku była wiadomość, że jakiś bogaty hiszpański kupiec, który młodo w Kaliforni umarł, zapisał 200 milionów dolarów, czyli miliard koron, swemu jedynemu bratu Juan Antonio Bayonie, o którym przez konsulat zebrał wiadomość, iż w roku 188 w Madrycie ożenił się i tam w roku 1901 umarł. Otóż ten muzykant, który trąbił tak fałszywie, był jedynym synem poszukiwanego spadkobiercy. Kto posiada miliard majątku temu fałszywie brane tony można przebaczyć, tem bardziej, że były one krzykiem radości szczęśliwca. Dodać należy, że ten wycinek z gazety z ogłoszeniem o spadku dostał się Antoniemu Bayonie zupełnie przypadkowo, mianowicie zawinięto mu w ową gazetę papierosy, które kupił w pobliskim sklepie. Podczas pauzy, kiedy jego instrument nie grał, rozwinął papierosy i, nie mając nic innego do roboty, zaczął ten urywek gazety czytać. Zaledwie dotarł do końca artykułu, gdy kapelmistrz dał znak, aby już grał. Chwycił więc za trąbę, ale zagrał fałszywie, aż uszy słuchaczy bolały. Kapelmistrz, dowiedziawszy się z jakim bogaczem ma do czynienia, nietylko przebaczył mu fałszywą grę, ale zapewnił o swej serdecznej przyjaźni.

Lotnik o jeździe powietrznej. Pewien znakomity i doświadczony lotnik ogłasza w jednem z pism angielskich swe wrażenia podczas szybowania nad Europą »Pierwsza chwila jest najgorsza — powiada — wszak i lotnik jest człowiekiem, więc narażając życie, doznaje instynktowego strachu. — Przyjrzyjmy się lotnikom w chwili przed wzlotem. Każdy jest milczący, skupiony, wypróbowuje wszystkie części składowe aparatu. Gdyby w tej chwili przed oczyma jego ukazał się jaki cud natury, dajmy na to: mieszkaniec gwiazdy Marsa, jeszczeby to nie odwróciło uwagi lotnika od śrub, od śmigów i motoru. Trzeba całą moc woli przyzwać na pomoc, aby dosiąść napowietrznego rumaka. Oto zaczyna się poruszać, śruba syczy, pęd powietrza staje się coraz silniejszy, ziemia znika z pod stóp. Wrażenia idą tak szybko, że niepodobna ich utrwalić, jedne zacierają drugie. Ale po godzinie, czasem po dwu, szybowanie w przestworzu wraca równowagę umysłu, lotnika ogarnia błogość, rodzi się w nim poczucie siły, ziemia ukazuje mu się małą i marną, rzeki, doliny przedstawiają się jak obrazki dla dzieci, tylko góry wzbudzają szacunek, czasem trochę lęku, czy nad niemi można będzie przelecieć bezpiecznie.«

Figiel milionera. Dobry humor i niezwykłe koncepta miewają milionerzy amerykańscy. Pewien taki bogacz, znalazłszy się na okręcie mającym go zawieźć do Europy, rozkazał służącemu, który go odprowadzał, by, skoro statek odpłynie, udał się do jednego z olbrzymich magazynów w Nowym Jorku i zażądał dla niego kilka par skarpetek i szczoteczki do zębów. Przedmioty te miała firma bezzwłocznie na parowiec owemu milionerowi dostarczyć, który nadto dodał, że o koszta ich dostarczenia mu nie chodzi.



Oczywiście zakpił sobie z właściciela magazynu, którego nie lubił. Ten jednak okazał się nie w ciemię bitym i znalazł sposób dostarczenia milionerowi owych drobiazgów. Przyrzekł pewnemu lotnikowi sowitą zapłatę, żądając, by na swej maszynie wzniósł się w powietrze, dogonił okręt i rzucił nań owe sprawunki. Tak się też stało. Lotnik doleciawszy nad okręt rzucił na pokład pakiecik, a w nim rachunek za lot nad morzem, wynoszący kilkanaście tysięcy dolarów. Drogo kosztowały więc skarpetki i szczoteczka do zębów. Obrazek nasz przedstawia ten zabawny wypadek.

W szale pijaństwa. W stanie Ottohama, w Ameryce, wpadł pod wpływem szału alkoholicznego murzyn Muldon, na maszynę pociągu kolejowego, stojącą chwilowo bez maszynisty, i posłużywszy się mechanizmem, puścił się w dziką podróż; na granicy stanu spostrzeżono się i skierowano maszynę na ślepy tor, gdzie wkońcu maszyna się zatrzymała. — Mimo gwałtownego wstrząśnienia, murzyn zdołał się

jeszcze podnieść i uciec do najbliższego folwarku, gdzie właściciela zamordował; w dalszej ucieczce wyczerpały się jego siły, przychwycono go, leżącego w polu bez zmysłów i oddano do więzienia. Rozjuszony jednak tłum wyłamał bramy więzienne i na murzynie, jak zwykle dzieje się w Ameryce, dokonał niemiłosiernego samosądu. Pokłutego nożami i porąbanego siekierami, powieszono na drzewie.

Kalendarz emigracyjny, jaki wydało Polskie Towarzystwo Emigracyjne na rok bieżący, stanowi doskonałe uzupełnienie wszystkich innych kalendarzy, gdyż zawiera wiele ciekawych wiadomości i ważnych pouczeń odnośnie do wychodźtwa do rozmaitych krajów europejskich i zamorskich. Kalendarz ten, obfity w praktyczne wskazówki i przestrogi, zdobią obok ilustracyj liczne mapki, powinien więc on znaleźć jaknyjwiększe rozpowszechnienie w całym kraju, a to tembardziej, iż Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie rozsyła go prawie bezpłatnie, bo jedynie za nadesłaniem 20 halerzowej marki pocztowej.

Odpowiedzi Redakcyi.

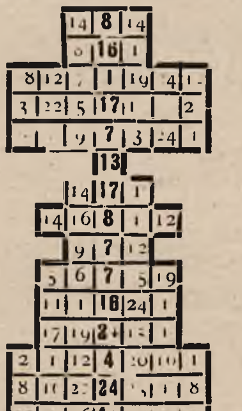
Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Władysław Sioło w K.: Wolimy utwory oryginalne, gdy jednak rzecz przetłomaczona jest bardzo ciekawa, wtedy chętnie wydrukujemy. Zadań konikowych nie umieszczamy, gdyż nie wszyscy nasi czytelnicy znają grę w szachy, a chcielibyśmy, aby wszyscy mogli brać udział w tej miłej i pożytecznej rozrywce. — Korczak: Jeden wiersz w numerze — drugi schowamy na później. — Józef Jarmuła w Z.: »W balową noc« i »W jedności siła« przyszły — dziękujemy. — Jędrzej Czarnik w Rz.: List Pański ucieszył nas bardzo, gdyż jest w nim widoczna chęć czytania. Numera były wstrzymane, gdyż od Nowego Roku pisaliśmy nowe adresa, a kto pieniędzy nie przysłał, więc numeru nie otrzymał. — Piotr Gródek w B.: Serdecznie wdzięczni jesteśmy za tak miłe słowa uznania, będą one dla nas zachętą do dalszej pracy. — Jan Waudas w B.: Podarki Szczęścia wyznaczał los — cieszy nas, iż Panu dostała się książka. Andrzej Skomra w K.: Wesołe wierszyki otrzymaliśmy. — Władysław Burghardt w S.: Jeden kwadrat w numerze — inne czekają swej kolei, gdyż teka nasza zagadkami przepełniona. — Józef Berek w K.: Obydwa utwory otrzymaliśmy i, gdy miejsce pozwoli, wydrukujemy. — Franciszek Smołucha w R.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. Za miłe słowa uznania jesteśmy bardzo wdzięczni. — Kazimierz Piękoś: Wierszyk nie nadaje się do druku, gdyż brak w nim rymu; artykulik umieścimy. — Adam Rzeźwicki w P.: Szarady dobre. — Franciszek Kellner w P. L.: Nagrodę konkursową wysłaliśmy — należy się nam 60 hal., jako zwrot kosztów przesyłki. — Wiktor Bułka w M.: Szarady dobre, gdy miejsce pozwoli, umieścimy. — Antoni Żelazny w R.: Z zagadek wkrótce skorzystamy. — Wojciech Żak w P.: Ponieważ ma Pan numer 1036, przeto los przyznał Panu: »Wieniec nabożeństwa« — prosimy przysłać 60 h. na koszta poleconej przesyłki. — Wojciech Gołąb w U.: Niestety nic! — Henryka Zwilling w T.: Nadesłany wiersz znacznie lepszy od poprzednich — chętnie go więc umieścimy. — Szymon Opoka w S.: Rzeczywiście niewdzięczny los, ale gdybyśmy wszystkim tym, których los minął chcieli dawać osobne podarki, to zacobyśmy gazetę wydawali? — Piotr Lipowiak w L.: Owszem można. — Franciszek Siekaniec: Niech Pan przyśle — zobaczymy. Zagadki będą — Józef Groń w J., Niestety, niemożemy. — Władysł. Dubaj w J.p.: Zagadki dobre. — Józef Jarmuła w Z.: Za przesyłkę dziękujemy. — Józef Waszek; W przyszłym numerze nie może być. — Wawrzyniec Pietrucha w Rz.: Za przysłany wiersz serdecznie dziękuję. Paczka i pieniądze minęły się w drodze. 60 hal. odsyłamy markami w liście. Józef Kubit w G.: Encyklopedya kosztuje nie 3 ale 10 Kor. a nabyć ją można u »Macierzy Polskiej« we Lwowie. — Antoni Kłosowski w T. W.: Zagadki nadesłane przez Pana były już w »Roli«. Jan Brzezina w G. T.: Żądanych numerów brak nam zupełnie. — Jan Mozgała w B: Do druku należy pisać po jednej stronie papieru a czy podług pierwszego rysunku zaznaczonego przez Pana, czy podług drugiego, to wszystko jedno. Trzeba tylko pisać bardzo wyraźnie i dość szeroko wiersz od wiersza, aby było gdzie umieścić potrzebne poprawki. — Aleksander Podczerwiński w M.: Książkę o pszczołach przyśle Panu każda księgarnia, trzeba tylko podać w przybliżeniu cenę, bo są książki w różnych cenach n. p. »Bartnik postępowy« Ciesielskiego kosztuje kilka koron, zaś Krupy kilkadziesiąt halerzy. — Piotr Jała w M.: Zapytanie Pańskie odstąpiliśmy firmie, która się do Pana zgłosi. — Piotr Mazur w Cz.: Wiadomość zbyt błaha, aby ją drukować. — Wawrzyniec Żmuda w O.: A jeżeli ktoś stawia na loteryę a nic nie wygra, czy się też gniewa? My za przysłane 4 k. 50 h. dajemy kalendarz i cały rok »Rolę«, która sama więcej warta niż dwa razy tyle. Podarki szczęścia są bezpłatne, więc nikt nie powinien mieć żalu, jeżeli los nie padł na niego. — Franciszek Zydroń w W.: Wiersz p. t.: »Petycya nauczycielska« stosowniejszy byłby do pisma zawodowego. — Piotr Kędzierski w P.: Niech Pan przyśle na nagrodę konkursową 1 k. — Franciszek Wąsik w B.: Może na przyszły rok szczęście będzie większe. — Anna Styła w Ch.: Nadesłane kobitki Maćkowi bardzo się podobały, żałuje tylko że to malowane, a nie żywe. — Władysław Kwolek w R.: Wiersze otrzymaliśmy. — Andrzej Budziński w B.: W losowaniu dodatkowem będą wszyscy ci brali udział, którzy nadesłali całoroczną prenumeratę po 6 stycznia, aż do chwili losowania. — Karol Powroźniak w S.: Artykuły nadeszły — dziękujemy. — Korczak: Wiersz otrzymaliśmy, a możeby znów coś prozą, jak »Wojtkowa baba«. — K. Polak w L.: Niech Pan nie pisze na takich małych karteczkach, bo się to wszystko gubi. O zamianie pomyślimy. — Kazimierz Tokarski w M.: Artykuły otrzymaliśmy. Czy nagrodę konkursową wysłaliśmy opłatnie. Łączymy pozdrowienia. — Andrzej Wróbel w K.: Zamiana może się da zrobić. Dłuższa powiastka musiałaby być bardzo dobra, abyśmy ją drukowali.

Zagadki do nagrody.

1. ARYTMOGRYF.

(Ułożył Sioło Władysław).



1) Narząd wzroku. 2) Płynie na wiosnę rzeką. 3) Miasto na Pokuciu. 4) Imię męskie. 5) Kraj koronny Monarchii. 6) Spółgłoska miękka. 7) Dokuczliwy owad. 9) Gwałtowny wicher. 10) Ryba. 11) Kraj w północno-wsch. Afryce. 12) Imię żeńskie. 13) Uczta. 14) Kozacki instrument muzyczny. 15) Nazwa pająka. 16) Największy skarb człowieka. 17) Inaczej samorząd.

Liczby w kwadracikach zastąpić literami w ten sposób, aby w kierunku poziomym powstały wyrazy o podanem obok znaczeniu, zaś litery w rzędzie środkowym czytane z góry na dół mają utworzyć nazwisko i tytuł dzieła jednego z poetów polskich.

2. PRZEPLATANKA.

(Ułożył Sioło Władysław).

Tra, niech, na, wi, świa, i, o, przed, ro, ży, ty, nie, dzie, są, niec, i, dem, na, ka, cą, nio, ga.

Z powyższych zgłosek utworzyć znany dwuwiersz Juliusza Słowackiego.

3. SZARADA.

(Ułożył Tomasz Wołkowski).

Drugie pierwsze płynne bywa,
Drugie trzecie kary dają,
Wszystkie, których się nie skrywa,
Publiczność rozciekawiają.

4. SZARADA.

(Ułożył Jędrzej Czarnik).

Pierwszem mówią do tego, gdy co dają.
Druga zgłoska — rzeka włoska, tak bają,
Trzecie i czwarte imię mężkie,
Odgadnienie to nie ciężkie.
Drugie trzecie się nadarza
U każdego gospodarza.
Całość cesarz niegdyś zbrojny,
Bo prowadził wielkie wojny.

5. KWADRAT magiczny.

(Ułożył Władysław Burghardt).

[illegible]	[illegible]	a	a	u
b	d	d	i	i
i	i	i	k	k
n	n	n	n	n
u	u	y	t	t

1) Roślina. 2) Nazwa żołnierzy. 3) Inaczej grupa. 4) Gatunek drobiu. 5) Rodzaj rzeczownika.

6. SZARADA.

(Ułożył Antoni Żelazny).

Pierwsze w lecie ubiegłem było,
Dlatego wody w morzu ubyło,
Drugie i trzecie powstaje wtedy,
Gdy wam kto umrze z choroby lub z biedy.
Na całość zaś ludzie się składają,
W stolicy państwa dziesiątki zbierają.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 10 lutego 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 2 »Roli«: 1. Zagadka: **Z ciasta,** 2. Zagadka: **Bez miotły,** 3. Zagadka: **Litera „e",** 4. Zagadka: **Pająk-krzyżak, Krzyżak-Prusak,** 5. Szarada: **Częstochowa.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Nie zasięgałem tej mądrości z miasta,
Lecz wiem od siebie, że chleb pieką z ciasta.
Każda rzecz, przedmiot dzierży jakieś imię,
Czy to na świecie, czy w podziemiach drzemie.
Pyta Pan Tokarski co jest w środku nieba
Myślę, że nie każdy odgadnie, jak trzeba.
Lecz ja tak uważam, że to »e« litera,
Bo na dwie połowy to niebo rozpiera.
Czy Krzyżak, czy Prusak, oba nasze wrogi,
Obaj są kamieniem Polakom u nogi.
Krzyżacy dopóty Polskę napadali,
Póki od Jagiełły ciegów nie dostali.
I dzisiejszy Prusak w Polaków uderza,
W języku ojczystym zabrania pacierza.
Lecz serce Polaka czerpie siły nowe,
Patrząc łzawym okiem w klasztor, Częstochowę.
Tam cudowny obraz ziem polskich Królowej,
Naród z niego czerpie siłę wiary zdrowej!
Częstochowo! sławna, tyś to powstydziła
Szweda najeźdnika, nas oswobodziła!
O! cześć ci Stolico Najświętszej Panienki,
My patrzym na Ciebie, jak na blask jutrzenki!

Walenty Pasierb.

2.

Dwu na świecie krzyżaków lecz nie jednej wagi
Pierwszy butny i chciwy, drugi bez powagi,
Z obydwu porachunek robimy Polacy,
Bo obaj na przeszkodzie stoją naszej pracy.

Józef Kulka.

Oprócz tego w oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP:

Franciszek Teper z M. K.. Jan Drzewicki z N., Karol Kuntschke z M. K., Franciszek Hamerlak z B (wierszem). Jacenty Kozioł z T., Rudolf Kula z M. K., Adela Bezokówna z K. M., Filip Raszczyk z D., Damian Galocz z K„ Wiktor Bułka z M., W. Moroń z Ł. (wierszem), Arkadyusz Szarek z S. W., Zofia Pawłowska z Z.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Z chłopskiej niwy*** wylosował p. **Franciszek Teper** z M. K., zaś drugą p. t. ***Ciernistym szlakiem*** p. **Raszyk Filip** z D.

Potwierdzenia prenumeraty.

Półroczną prenumeratę nadesłali PP.:

Ząbek z P., Żurek Jan z S. (2·50), Koska Franc. z B., Sierpowicz Jan z S., Srokosz Józef z W., Bosek Wojciech z P., Wojtanowicz Karol z W., Zych Józef z K., Szymański Józef z H., Czop Ludwik z P., Rachwał Jan z C., Czarnik Jędrzej z N., Cwynar Fr. z C., Legowicz Wład. z S., Heck Klara z B., Barnacki Paweł z W., Radziszewski Stan. z L., Jurkiewicz Józef z W., Józef Zawada z S., Konchowicz Józef z Ch., Bator Karol z H., Orkis Józef z W., Wanot Józef z C., Swolkien Ludw. z Z., Jekiełek Wojc. z O, Żurawski Józef z N., Wolski Jan z J., Vorschirm Stefan z G., Mazur Seb. z K., Walec Kat. z Z. (2·50), Klimek Apolonia z O., Dobosz Jan z T., Stachura Ludw. z B., Kumięga Wojc. z L., Ks. Głąb Jan z P., Binda Jan z R.

Oprócz tego nadesłali PP.: Kazim. Sołtys z J. (1·60 K.), Madeja Franc. z Z. (1 K.), Gul Wład. (1·50 K.), Ryszka Andrzej z B. (1 K), Słowik Józef z R. (1 K.), Mglejowa Anna z P. (1 K.), Indek Franc. z Z. (1 K.), Kraus Jan z M. (1 K.), Bernasiówna Anna z M. (1 K.), Benedyk Jakób z N. (1 K.), Turoszka Jan z L. (1 K.), Karpiński Franc. B. (1 K.), Czerniecka Julia z S. (1 K.), Kristyan z K. (1 K.) Jaremko Łukasz z L. (1 K.), Kuzar Stan. z R. (1·50 K.)

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 30 stycz.

Pszenica	Kor.	11·70	do	11·90	za 50 kg.
Żyto	„	10·—	„	10·50	„
Jęczmień	„	9·20	„	9·90	„
Owies	„	9·15	„	9·60	„
Otręby pszenne	„	7·10	„	7·20	„
Otręby żytnie	„	7·15	„	7·25	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 30 stycznia:

Buhaje	Kor.	110	do	200	za sztukę
Woły	„	230	„	400	„
Krowy	„	130	„	300	„
Jałówki	„	120	„	240	„
Cielęta	„	25	„	84	„
Owce i kozy	„	18	„	26	„
Świnie bita waga)	„	124	„	140	za 50 kg

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.